

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — Do Niemiec: Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.



Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIII. Kraków, 2 września 1916. Nr. 36

Ratowanie przyszłych pokoleń.

Krakowskie półkolonie w parku Jordana.

Ratowanie przyszłych pokoleń.

Wojna obecna, tak długa i krwawa, wszystkim społeczeństwom srogie zadała ciosy i straty, a wśród nich może największą jest strata licznych żywotów ludzkich. To też już obecnie największą troską wszystkich społeczeństw, patrzących w przyszłość, jest możliwe tej straty powetowanie. Jednym z najskuteczniejszych środków jest praca nad utrzymaniem zdrowotności i zmniejszaniem śmiertelności wśród dzieci, tego przyszłego pokolenia narodu. U nas praca na tem polu prowadzoną jest już oddawna, ale obecnie wymaga ona większej intenzywności. Polska w skutek wojny wyludniła się, przedewszytkiem wyludniła się z dzieci. Po wsiach i miastach, dotkniętych najazdem lub przymusową a masową ewakuacyą, zginęła od chorób przeważnie przeszło połowa dzieci; to też te, co pozostały, największą trzeba otoczyć opieką. A tymczasem na zdrowie dzieci, nawet w zwykłych warunkach, tak wiele czyha nieprzyjaciół, z których największym jest gruźlica. Zwłaszcza dzieci wielkomiejskie, żyjące wśród kurzu, braku światła i świeżego powietrza, stają się w przerażającej wielkich odsetkach jej ofiarami. Jednym z najskuteczniejszych sposobów zapobiegawczego zwalczania gruźlicy okazało się wysyłanie dzieci miejskich na kolonie letnie na wieś, gdy zaś to okazało się niemożliwe w stosunku do wszystkich — zorganizowanie dla dzieci tak zwanych półkolonii letnich — to jest zapewnienie im pobytu wśród słońca i świeżego powietrza, przy dostatecznem pożywieniu, bez wywożenia ich z miasta.


Wypowiedzenie wojny przez Rumunię: Obecny król rumuński Ferdynand.

W Krakowie półkolonie takie dla dzieci istnieją w parku dra Jordana, a zajęło się tem Towarzystwo walki z gruźlicą.

Dzieci dzień cały przepędzają w parku, a tylko na noc wracają do domu. Pod względem pedagogicznym jest tu połączenie metod Frebla i Montesorri z metodą ochronkową, z podkreśleniem wymogów, koniecznych dla pomyślnego rozwoju dziatwy, to jest światła słonecznego, powietrza i swobodnego ruchu.

Dzieci w okrągłej liczbie 300 przyjeżdżają codzień (prócz niedziel i świąt) wozami tramwajowymi z rynku o godzinie wpół do ósmej rano, dostają w parku pierwsze śniadanie, złożone z mleka słodkiego i chleba, poczem następują zabawy, w ciągu których o godzinie dziesiątej dostają drugie śniadanie w postaci drugiej porcyi mleka. O godzinie dwunastej obiad, złożony z dwóch dań, z przewagą potraw bezmięsnych. Zanim dzieci siądą do obiadu, ogólne mycie rąk. Po obiedzie dwugodzinne werandowanie na leżakach, potem znów zabawy do godziny czwartej, poczem podwieczorek i odjazd.

Ponieważ wszystkie dzieci przed przyjęciem zostały zbadane przez lekarzy miejskich i dzieci z otwartą formą gruźlicy nie zostały przyjęte, przeto jest gwarancya, że wszelka możliwość zakażenia gruźlicą jest wprost wykluczona. Podobnie skrupulatna piecza uchyla możliwość zakażenia chorobami dziecięcemi. Miejski Urząd Zdrowia bezzwłocznie zawiadamia kierowniczkę półkolonii, jeśliby którakolwiek z dziecięcych chorób zakaźnych ukazała się bądźto w mieszkaniu, bądź w kamienicy, z której uczęszcza jakie dziecko do półkolonii. Przy wpisach do półkolonii przynoszą dzieci na karteczkach zapisaną swą wagę i miarę wysokości, a przy zamknięciu półkolonii bywają mierzone i ważone po raz drugi. Różnice dają wymowne świadectwo o osiągnięciu dodatnich wyników.

Gdy jeszcze do tego programu uda się włączyć kąpiele słone i słoneczne (we własnym budynku, obok starego koryta Rudawy aż po Cichy Kącik zasklepionej), to będą i dzieci półkolonii korzystać z tych samych dobrodziejstw, któremi szczęśliwszych wybrańców losu zwykła darzyć Rabka, lub inna podobna solanka. Spodziewać się należy, że rodzice i wogóle sfery jak najszersze ocenią i poprą należycie działalność Towarzystwa walki z gruźlicą w tym kierunku; półkolonie te winny się rozwinąć i objąć wszystkie dzieci, które z powodu warunków bytu swych rodziców wakacyi wiejskich zaznać nie mogą.

W obecnych warunkach naszego społeczeństwa, hasło „Ratujcie dzieci", jest jednem z najważniejszych, a praca w tym kierunku, jednem z najdonioślejszych zadań społecznych. Uznano to już we wszystkich dzielnicach Polski, w Poznańskiem zarówno jak w Królestwie potworzyły się odpowiednie organizacye; Galicya i Kraków także pracują w tym kierunku i niewątpliwie w tej pracy nad ratowaniem przyszłych pokoleń narodu za innymi nie pozostaną w tyle i w czasie wojny, lecz przeciwnie, działalność swoją w tym zakresie znacznie spotęgują.


Wypowiedzenie wojny przez Rumunię: Królowa rumuńska Marya.

Wypowiedzenie wojny przez Rumunię.

To, czego długi czas oczekiwano, a co zdawało się chwilami zażegnanem, stało się — Rumunia wy-


Ratowanie przyszłych pokoleń: Dzieci z półkolonii w parku Jordana werandujące na leżakach.

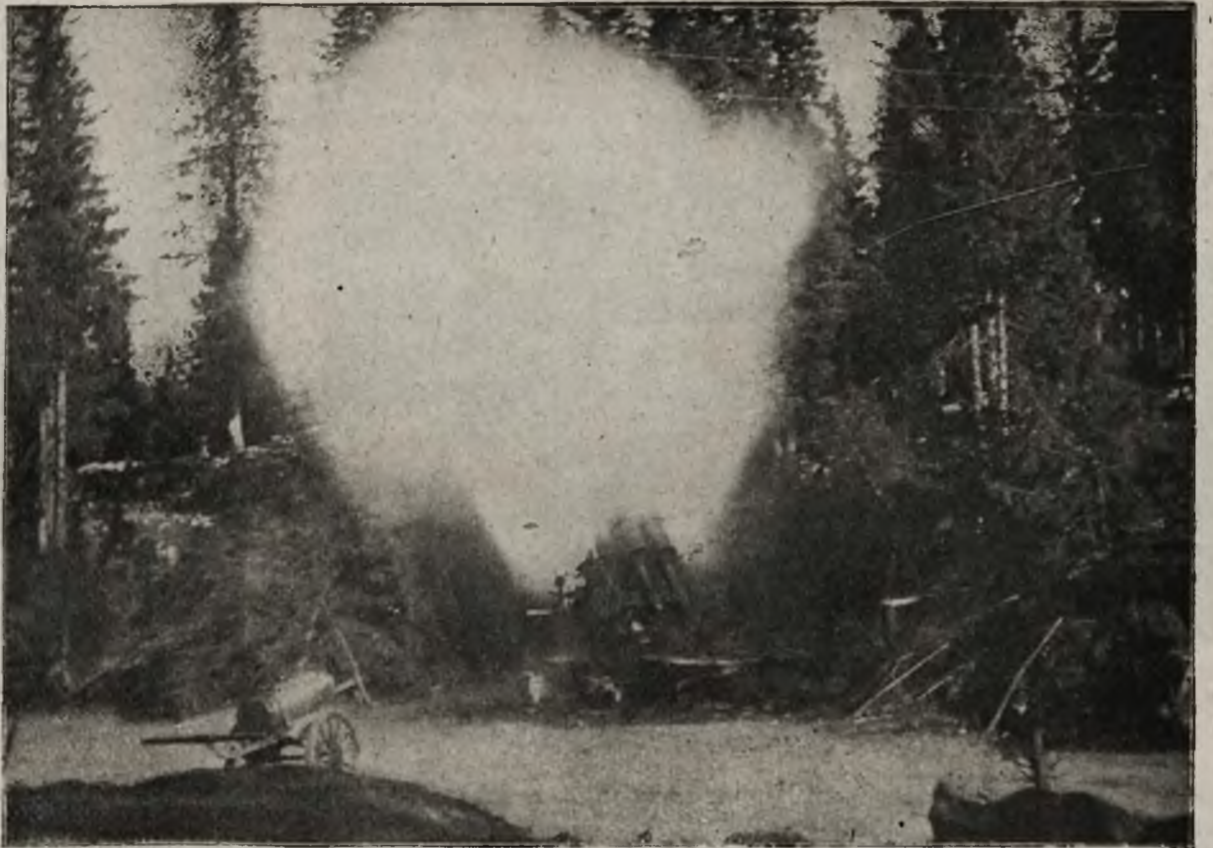
powiedziała wojnę Austro Węgrom. Bez podania motywów i powodów, których zresztą nie miała — poprostu dlatego, że uważa obecną chwilę za najodpowiedniejszą do orężnego napadu na sąsiada, potężnego wprawdzie, ale zajętego w tej chwili odpieraniem równie potężnych wrogów na innych frontach.

Niewątpliwie gra tu rolę ochota niektórych polityków rumuńskich do rozszerzenia Rumunii kosztem Siedmiogrodu austryackiego, w którym mieszka wielu Rumunów. Rzecz szczególna jednak, że ci rumuńscy



Na południowym froncie: Oddział karabinów maszynowych nad Isonzo.

mężowie stanu, tak myślący o zwiększeniu swego państwa i „wyzwoleniu" współplemieńców — nie zwrócili swych oczu na wschód od Rumunii — gdzie w zagrabionym przez Rosyę najpiękniejszym kawale ziemi rumuńskiej — Besarabii, jęczy w prawdziwej niewoli rosyjskiej przeszło milion Rumunów. Wi-



Na południowym froncie: Wystrzał austryackiego działa na Monte Civello.

docznem tu jest, że ci rumuńscy politycy, a i cały rumuński rząd, zrobili ten krok pod obcym wpływem. Nie na darmo Anglia, Francya i Rosya sypały nie tylko obietnicami, ale i złotem hojnie w Bukareszcie — w gabinetach polityków, w redakcyach dzienników, wprost nawet na ulicach — gdzie tylko można było zyskać zwolenników do urządzenia antiaustryackiej hecy.

Czy Rumunia wyjdzie dobrze na tem wypowiedzeniu wojny — jest wątpliwe. Państwa centralne i ich sojusznicy, które dotąd dały sobie radę z tyloma nieprzyjaciółmi, i z tym nowym jakoś się uporają. Koalicya nie rumuńskie napewno, ale swoje własne interesa miała na celu, popychając Rumunię do wojny; ta się niedługo o tem przekona na własnej skórze. Tych kilkuset tysięcy żołnierzy, które Rumunia wyprowadzić może w pole, nikt nie lekceważy; ale należy o tem pamiętać, że to żołnierz, który jeszcze „prochu nie wąchał", podczas gdy przeciwnicy mają za sobą dwa lata doświadczenia wojennego. Rumunia, wyzywając Austryę, wyzwała zarazem całe przymierze — Niemcy, Bułgaryę i Turcyę; na ataki ich otwarta jest z trzech stron. Czy ją obroni Rosya? Przed rokiem mniej więcej wystąpienie Włoch nie wiele pomogło koalicyi; tak samo teraz rząd rumuński przekona się, że powtórzył tylko pomyłkę włoskiego i takie same, jak tamten, ściągnął klęski na swój naród.

Na południowym froncie.

Walki na południowo zachodnim terenie toczą się na całym froncie włoskim, lecz ze zmiejszonemi nasileniami. Główną rolę odgrywa tu artylerya, pracują też gorliwie tak nasze trzydziesto i pół centimetrowe haubice, jak i dwudziesto ośmio centimetrowe moździerze włoskie, przygotowując w ten sposób drogę dla piechoty, która pozycye nieprzy-



Wypowiedzenie wojny przez Rumunię: Rodzina króla rumuńskiego ś. p. Karola i cara Mikołaja II. na zjeździe w Konstancy.



Na południowym froncie: Zestrzelony włoski latawiec „Caproni“, który wpadł do rzeki Wippach.

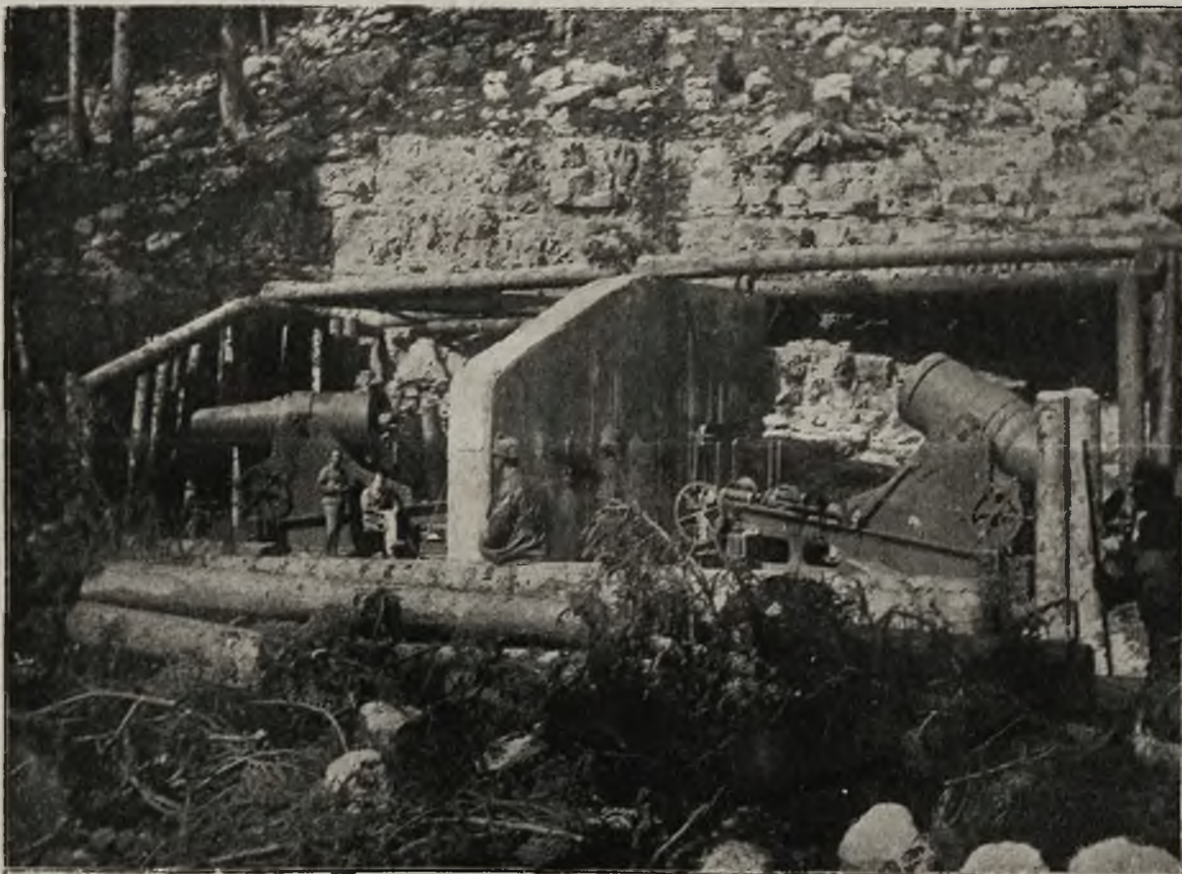


Walki na wschodzie: Sortowanie zdobyczy na pobojowisku.

jacielskie atakować może dopiero po należytem „przygotowaniu artyleryjskiem“, to jest po zupełnem zniszczeniu rowów strzeleckich, okopów i bateryi.

Z jakiemi trudnościami walczyć się tu musi, wiedzą Czytelnicy *Nowości illustrowanych* z poprzednich numerów, gdzie przedstawialiśmy rozsadzanie skał przy budowie rowów strzeleckich i podziemnych schronisk. Wszędzie tu lita skała, opierająca się ręce człowieka, do jej usunięcia musi się używać najrozmaitszych środków mechanicznych i chemicznych.

Także i przewożenie dział wielkiego kalibru z miejsca na miejsce, połączone jest z wielkiemi trudnościami, zwłaszcza, że nieraz należałoby bateryę ustawić w takiem miejscu, dokąd człowiek tylko z trudnością się może dostać. Wszystkie te przeszkody pokonano przecież dzięki zapałowi, jaki ożywia naszą dzielną armię.



Na południowym froncie: Zdobyte olbrzymie włoskie działa 28 ctm.

Z dziejów przymierza niemiecko-austryackiego.

(Do illustracyi na str. 10).

Austryacko niemieckie przymierze zaczepno-odporne, zawarte przed laty, gdy nad środkową Europą zaczęły się gromadzić chmury, a reszta państw z zawiścią spoglądała na wzmagającą się potęgę Niemiec, okazało się bardzo trafną kombinacyą polityczną. W poszukiwaniu za sprzymierzeńcem znalazły go Niemcy rychło w Austryi, która ciągle żyła pod grozą nieuniknionej wojny z Rosyą. I Austrya i Rosya starały się o uzyskanie wpływów na Bałkanie; każda z nich dążyła do celu innemi drogami, wobec czego orężne starcie musiało nastąpić prędzej czy później.



Walki na wschodzie: Cmentarzyk żołnierski na Wołyniu.

Złączone w ten sposób ze sobą oba mocarstwa centralne utworzyły wówczas wraz z Włochami trójprzymierze, na którem tylko Włochy wyszły dobrze, mając ze strony Austryi spokój w czasie wojny trypolitańskiej, za co też teraz po swojemu się odwdzięczyły.

W trójprzymierzu, stojącem dziś silniej, niż kiedykolwiek, pozostali więc tylko dwaj sprzymierzeńcy, Austrya i Niemcy, w skład jego weszła czasowo Turcya i Bułgarya. Utworzyła się w ten sposób naturalna zapora, dzieląca Europę zachodnią od wschodniej.

Wojska mocarstw centralnych, w imię owego przymierza, mającego na celu obronę wspólnych interesów, walczą też w braterskiej zgodzie na wszystkich frontach, dając tem dowód, jak silnym jest ów zawarty przed laty związek obu sąsiadujących ze sobą mocarstw.



Walki na wschodzie: Cmentarz żołnierski na Wołyniu wśród lasku.

JÓZEF LASOŃ.

Tajemnice starego dworu.

(Opowieść z walk Legionu na Wołyniu).

2

— Jak zechcesz, to i będziesz, przymusu niema — odparł Wacek.

Dotarli do cerkwi, stojącej na pagórku. Wpatrzyli się w mgłę, usiłując przeniknąć wzrokiem zasłony mgły, ciemność nocy. Pojedyncze wystrzały karabinów świadczyły o walkach patroli, kryjących się pośród rozległych lasów i bagien.

— Dudni coś — zauważył Kuba.

Wacek przyłożył ucho do ziemi; wsłuchując się w tętno ziemi, po chwili szepnął:

— Jadą!

— Kto? — zgłupkawa zapytał Kuba.

— Nasi!

— Na...si? Moskale?

— Głupiś! Legiony!

— Aha!

— Leć do dworu duchem! Oznajm, że już jadą! Ja tu zostanę! Powiedz, że od strony Maniewicz!

Chłopak zerwał się i biegnąc wśród chat, krzyczał, jak opętany:

— Nasi, nasi jadą!

Chłopstwo, wystawiwszy głowy z chat, na krzyk dworskiego chłopaka, poczęło ciekawie z ruska pytać:

— Kto?

— Nasi!

— Ruscy?

— Polacy! Legiony!

— Czort nasz, ne Polak — mruknęło chłopstwo, cofając się z powrotem do chat i zasuwając rygle u drzwi.

Kuba wpadł do dworu, nie zdejmując czapki wbiegł do salonu Grodzkich, krzycząc donośnie:

— Nasi jadą! Legiony!

IV.

Dwór Grodzkich huczał życiem, rozgwarzył się, wiwatował. Stuk szabel, brzęk ostróg mieszał się z rozlicznymi okrzykami, to znów twarde słowo rozkazu dowódców przygłuszało chwilami rozgwar.

W pokojach rozłożyły się kancelarye wojskowe, skąd szły rozkazy; koło dworu przesunęły się kolumny wojska Legionu, rozkładając się obozem we wsi i pod namiotami. Patrole, wysyłane na wszystkie strony, szły w ciemnościach nocy, szukając Moskali.

Rosyanie oparli się o Styr.

Drobne utarczki podeszłych patroli przerywały spokój nocy. Nadciągała artylerya, aby z brzaskiem dnia rozpocząć taniec śmierci.

Mimo groźnego położenia dworu, w bliskości linii bojowej, dwór ucztował. Oświetlony rzęsiście, drgał w okrzykach. — Długie lata przetrwał, przeróżne uczty i smutki kilku pokoleń, po raz pierwszy uroczystość taką przechodził.

Wędrowiec, dziesiątki lat straciwszy na wędrówce, w poszukiwaniu zaginionej rodziny, odnalazłszy ją, nie wie, czy śmiać się, czy płakać. Bowiem jest płacz w człowieku, płacz szczęścia, w którymby można oszaleć.

Tak samo i dwór.

Grodzki, mówiąc cośkolwiek, miał łzy w oczach. Biedne, polskie szlacheckie serce drżało rozkoszą chwili. Do czego dozgonny skazaniec może jedynie tęsknić: tylko do jednej chwili wolności! Choćby ta chwila sekundę życia zawierała, nie masz dla niego droższej. Naród podbity, nie drżący, nie tęskniący do wolności — nie jest narodem. Toż samo i człowiek. Naród wolny, nie umiejący krwi i mienia poświęcić do ostatnich granic — nie jest nigdy wolnym narodem.

Uroczystość we dworze była święceniem chwili wolności.

Podczas, gdy dwór święcił radosną chwilę, pośród huku armat, rzegotu karabinów, w zgiełku żołnierstwa Legionu, zdradne ruskiego chłopa ucho nadsłuchiwało, oko podpatrywało. — Ciemny chłop prawosławny, żołnierz caratu, wieszając „buntownika polskiego“, z nienawiścią patrzył na niego. Głos męczennika „niech żyje wolna Polska“, był dlań okrzykiem buntu; krzycząc i śpiewając o Rosyi wszechpotężnej i carze, wysławiał wiernopoddańczość i patryotyzm. Polskie święte uczucie, gromki okrzyk podbitego narodu, był dla niego krzykiem buntu.

Grodzka z córkami usługiwała gościom z uśmiechem na ustach; panny rozpromienione, spuszczając skromnie powieki, ukradkiem wpatrywały się w ogniste twarze żołnierskie, prochem osmolone, spalone od słońca i wichru.

Starszyzna gromadnie obsiadła pokoje, zmęczone ciało prostując; Wacek, otoczony ułanami, przysłuchiwał się rozmowom żołnierskim, wypytując o to i o owo.

— Komendancie! — przemówił Grodzki do wodza — Otom dożył dni, przez naród oczekiwanych.

Drżącym głosem powitał zebranych; nie skończył jednakże, gdyż łzy zalały mu twarz, perłami skrapiając siwą brodę; nie była to przemowa z góry ułożona, uplanowana. Słowa serdeczne, plączące się zdania płynęły z ust Grodzkiego.

Skromna uczta, przeplatana toastami przeciągnęła się do świtu.

— — — — — — — — — — — —

Dnie wojny poczęły szybko biegnąć.

Moskale, oparci o Styr, zdołali umocnić pozycye, pobudować linie obronne, próbować szczęścia kontrofenzywy. — Zaczynała się walka pozycyjna, tembardziej, że zbliżająca się zima utrudniać poczęła operacye wojenne.

Linia chwiała się bezustannie, nie ustępując jednakże. Od strony Czartoryska Rosyanie koncentrować poczęli siły, mając przed sobą groźnego i nieubłaganego przeciwnika: Legiony.

Czartorysk, naprzemian zajmowany, był w gruzach. Ogień artyleryi poburzył, resztę spalili Moskale.

Po pierwszych przejściach radości, dwór stał się komendą brygady Legionu, przeżywając wspólnie dni wojenne.

Kuba z Wackem, idąc za porywem serca i idei, wstąpili do szeregu.

Po kilku dniach walki nad Styrem nastąpił odwrót z odcinka, przebiegającego za Gałuzią. Rosyanie, wzmocnieni w siły, uderzyli gwałtownym atakiem, wymuszając przesunięcie linii o kilkanaście kilometrów w tył, pod Trojanówkę. Był to okres gwałtownych walk, kończący okres ofenzywy państw centralnych, zaczynający walkę pozycyjną. Odwrót nagły nie pozwolił Grodzkim do opuszczenia dworu; pozostali w nim z trwogą, wyczekując przybycia Moskali.

Rosyanie wstąpili powrotnie w teren niedawno opuszczony, nie wytrzymując jednakże długo, cofnęli się powrotnie do pozycyi nad Styrem, gdzie pozostali w walkach pozycyjnych aż do końca czerwca 1916 roku.

Wszystkie te szczegóły historya kiedyś, starannie opracowując, wykaże, jakiemi ofiarami trudów i krwi żołnierz Legionu każdą piędź ziemi zdobywał i utrzymywał w posiadaniu.

Z Karpat przyłączyła się druga brygada Legionu, po całorocznym przeszło pobycie w górach i śniegach. Wyszedłszy z wagonów — szła bez odpoczynku w ogień.

Były to bowiem dwie legendy: jedna o zaklętych rycerzach w Karpatach, druga o powstańcach z bronią w ręku, walczących przeciw Rosyi. Połączyły się ze sobą, poznały się dopiero w gigantycznych zapasach z wrogiem, w bagniskach i puszczy wołyńskiej.

Jesień obfitowała w deszcze i śniegi; brak chat i mieszkania nie dawał żołnierzowi zmęczonemu wypoczynku. Żołnierz spał pod namiotem płóciennym, postawionym na bagnisku. Deszcz podmywał go, dziurami przedartego namiotu kropiąc; nie jadł przez dwie doby, ssąc korę; pił wodę z bagniska, która oprócz gnojowiska, nierzadko zapachem rozkładającego się ciała ludzkiego, czy zwierzęcego była przepełniona. Zziębnięty nie ogrzał się przy ognisku; nie wolno i nie można było palić.

Mimo to ustawicznie trwał w boju. Osłabło wynędzniałe ciało, nogi drżały, febra pozieleniła twarze, ale hart ducha nie ustał.

Wówczas to brygadyer Küttner, obchodząc szeregi żołnierskie, widząc to wszystko, przemówił:

— A widzicie, nie lepiej wam było na bessarabskim froncie?

— Nie, panie brygadyerze! — brzmiała odpowiedź szeregowca — tu nam lepiej, bo tu polska ziemia!

Choćby zdychać — ale na swojej ziemi. Oto idea żołnierza Legionu. A cóż dopiero mówić o bitwach, które musiał przejść!

— — — — — — — — — — — —

Dwór Grodzkich pozostał.

Zostali właściciele, oczekując Moskali.

Z trwogą patrzyli na ponure chłopstwo, wyglądające z tęsknotą na powrót swoich żołnierzy.

Gdy Legiony pospiesznie opuściły Gałuzię, nastała cisza we dworze. Zaryglowano bramy, zasłonięto okna, zamknięto się w sobie.

Człowiek czasem przeczuwa grożące mu nieszczęście. Wówczas staje się niespokojnym, lękliwym, tembardziej, jak nie może wytężyć sił, aby przeciwdziałać.

Przez szpary drzwi, przez firanki w oknach obserwowano przebiegających chłopów. Ich oczy, groźnie wpatrzone w dwór, niosły mu śmierć i rabunek.

Nie byli jednakże jeszcze pewni sytuacyi. Dwór zamknięty, mógł być uzbrojony, mógł mieć pomoc rychłą; dopiero wtargnięcie oddziałów rosyjskich dawało pewność bezkarności.

Oczy chłopskie, przez cały czas pobytu Legionu, patrzyły pilnie i śledziły. — Zbratanie się dworu z „nieprzyjacielem“ było w ich oczach zdradą cara, buntem. Kto na tej ziemi, musi być carowi i Rosyi wierny — to było ich sztandarem. Słyszeli krzyki radosne, głośne wiwaty, podpatrzyli ucztę, przyjęcia gościnne gospodarzy, co w mniemaniu ich było przestraszliwą winą — za co należało ukarać.

Okrzyki radosne chłopstwa były przepowiednią zagłady dworu. Usta chłopskie z widzianych i słyszanych rzeczy zrobiły straszliwą opowieść o zdradzie i buncie.

Wojna nie zna litości.

Mieszkańcom dworu dopiero w tej chwili, gdy wieś zapełniła się sołdatami, rozświetliła się groza położenia, widmo losu, który miał ich zdruzgotać.

— Jezu, ratuj! — modliły się drżące usta Grodzkiej, tulącej córki do serca, jak gołębica młode przed jastrzębiem.

Grodzki nadsłuchiwał. Na odgłos okrzyków, witających przybyłych, szepnął:

— Dziej się wola Pana!

V.

Za Wołczkiem biegła duża polanka piaszczysta, kończąca się u podnóża wzgórza zalesionego. Las gęsty ciągnął się na kilka kilometrów, poczem sterczało wysokie wzgórze, „Polenberg“ zwane przez Niemców.

Ta „polska góra“ — to Kalwarya Legionu. — Żółty piasek zarumienił się od krwi przelanej. Kilkanaście razy zdobywały to wzgórze Legiony polskie — i pozostało ono w ustach Niemców „Polenberg“.

Grzbietem góry były okopy rosyjskie. Zasieki druciane, pola minowe broniły dostępu; przestraszliwy ogień armatni i karabinowy prażył bez przerwy.

Wzgórze to należało zdobyć.

Wyznaczono do tego oddziały austryackie i niemieckie. Szły z brawurą do szturmu, zaścielając pole trupami. Bohaterskie wysiłki żołnierzy spełzły na niczem.

Skoncentrowano na wzgórze to, długości niecałego kilometra, sto dziesięć armat. W pierwszym rzędzie stały lekkie polowe, w drugim szybkostrzelne „spluwacze“ szrapneli i granatów, im dalej, tem cięższe. Rząd za rzędem przestraszliwe. Kończyły trzydziesto i pół centimetrowe moździerze, których wyjące pociski trwogę i panikę wzbudzały w szeregach rosyjskich.

Do zdobycia góry, po przygotowaniu armatniem, wyznaczono Legiony.

Rozpoczął się przestraszliwy taniec.

Ziemia trzęsła się od huku, ludzie, obsługujący te potwory, z krwistemi oczyma biegali jak potępieńcy. Słabszym krew rzucała się ustami i uszami.

Wśród takiego piekielnego ognia żołnierze Legionu poszli do szturmu.

Zdobywać górę jest stokroć gorzej, niż ją bronić. Ciemność nocy ustąpiła przed paszczami armat. Z niebios sypał się bezustannie grad kul ołowianych, rozszarpanego żelaziwa odłamki.

Zdobyto wreszcie górę!

Było to przestraszliwe pole śmierci.

Okopy, zasieki druciane znikły. Wzgórze pokryło się szczątkami poszarpanych ciał; powierzchnia wzgórza po szturmie wyglądała, jak twarz człowieka, oszpeconego ospą. W dołkach tych czerwieniła się krew, bielały kości żywcem z ciała odarte. Nie było tu rannych; bo nie było całkowitych ciał. Ranny, stoczywszy, lub dostawszy się na to wzgórze, był skazany na roztarganie przez pociski. — Kadłuby ludzkie, wypróżnione z bebechów, napełniały się piaskiem, potrzaskane głowy sączyły białawy mózg, niedotknięte nagłą śmiercią oczy krwią brunatną zaszły, nadając źrenicy wyrazisty błysk. Rzekłbyś w nagłej męce śmierci oczy te krwią się sączyły

Takiem było wzgórze, zwane „Polenbergiem“. Okopy stały się grobem walczących, raczej dołami rzeźni, gdzie wrzucano resztki, odpadki bydlęce, nie nadające się do użytku. Daremnem byłoby usiłowanie poskładać to w całość.

Zasypała ich w przeważnej części ziemia pociskami armatnimi w górę wyrzucana. Zrównano piaskiem okopy, poblisko leżące ciała tam położywszy.

I tak długi pas okopu stał się cmentarzem.

Las docierający do wzgórza znikł.

Wiekowe sosny i świerki pokotem ścięte zostały, poczem na drobne części porozbijane. — Na śniegu czerniło się od kul szrapnelowych. Grad przez długi czas padający nie zdołałby tak pola pobielić, jak szrapnele poczerniły powłokę ziemi, pokrytą śniegiem.

Kilkokilometrowa przestrzeń lasu znikła zupełnie. Nie pozostało ni jedno drzewko, nie ostał się ni krzaczek.

Wzgórze wówczas zostało zdobyte, ale nie zyskało jeszcze przydomka „polskiej góry“.

Dopiero po trzykroć razy zdobywane, zyskało. Zostanie nazwa ta — legendarną opleciona opowieścią, niby Samossierra, niby Rokitna.

Polska to Golgota krwi w bohaterstwie.

Dopiero gdzieś w grudniu 1915 roku nastała na froncie wołyńskim walka pozycyjna.

— — — — — — — — — — — —

Scisnęły silnie mrozy, skorupą lodu pokrywając jeziora i bagna, śnieżyce szaleć poczęły.

Śpiąc pod szałasami, lub pod płóciennymi namiotami, żołnierstwo Legionu rozpoczęło nadludzką pracę.

Dniem i nocą budowano okopy, pod wzrokiem nieprzyjaciela i jego pociskami, odrutowując się zasiekami, zakładali pola minowe.

Lasy wołyńskie przecięto linią bojową!

Po wzmocnieniu pozycyi rozpoczęto budować ziemianki, wykopane głęboko w ziemi, kryte pniakami świerków i sosen, ozdabiane zielenią gałązek na zewnątrz, aby zasłonić przed wzrokiem nieprzyjaciela.

— — — — — — — — — — — —

Po pierwszem wzięciu „Polenbergu“ Moskale przypuścili szturm; pozycya, obsadzona przez żołnierzy austryackich, trzymała się dłuższy czas znakomicie.

Rosyanie zdołali skoncentrować ogromną siłę artyleryi i w podobny sposób w przestraszliwym ogniu artyleryi usiłowali szturmem zdobyć dominujące wzgórze.

Mimo bohaterskich wysiłków nie zdołano utrzymać wzgórza, znów nastąpiło chwilowe ustąpienie, cofnięcie się z Bielgowej za Wołczeck; całą dobę trwało zmaganie się walki, w której Legiony dostały rozkaz powtórnego zdobycia wzgórza.

Walczono zaciekle o każdą piędź ziemi, posuwając się tyralierką naprzód lub cofając.

Był to okres największych prawie walk, jakie Legiony do tej chwili przechodziły.

Dość wspomnieć, że jeden batalion drugiego pułku drugiej brygady, po wyjściu z piekła tego liczył około ośmdziesięciu karabinów; tenże batalion otrzymał za samą walkę pod Bielgowem ośmdziesiąt siedm medali. (Batalion drugi kapitana Dziekanowskiego). Zaraz we wstępnym boju ranny został kapitan Dziekanowski, kontuzyonowany adjutant podporucznik Szeliga Zuławski; ten ostatni pozostaje na stanowisku, aż do zupełnego ukończenia walk.

Ogółem drugi pułk za walki pod Bielgowem otrzymał przeszło trzysta odznaczeń; dużo jednakże z żołnierzy i oficerów później odznaczonych, życie na ołtarzu ojczyzny położyło.

Pułkownik Januszajtis, wzięty do niewoli, prowadzony przez silną patrol rosyjską, przytomnością umysłu ratuje się z niewoli; prowadzony pod rękę przez żołnierzy rosyjskich zdołał zrzucić mundur i umknąć. Zanim Rosyanie zoryentowali się w sytuacyi, dzielny pułkownik był już pomiędzy swoimi.

Kapitan Trojanowski (pseudonim Szaleniec), dr. Miarczyński, chorąży Swietlik i wielu innych oficerów dostaje się wówczas do niewoli.

Walki pod Trojanówką, Kostiuchnówką opromieniły chwałą oręż polski. Tamże pierwsza brygada poniosła dotkliwe ofiary w ludziach, jak ś. p. dr. Sternschuss i wielu innych.

— — — — — — — — — — — —

Na pobojowiskach powstały dziwne mogiły.

Nie było czasu na grzebanie umarłych; tam, gdzie przesunęła się walka, ci co padli, parę dni pozostawali niepogrzebani.

Oto pod drzewem skurczone jakieś ciało siedzi. W dłoniach zaciśniętych rozwinięty bandaż; wicher owiewa białą szmatą jak sztandarem poszarpanym. Ranny w nogi, usiadł pod drzewem, chcąc opatrzyć rany; zabłąkana kula trafia go w tejże chwili w głowę, momentalnie następuje śmierć. Pozostał pod drzewem z rozbitym czerepem, z bandażem w kurczowo zaciśniętych dłoniach.

Z pod śniegu wyglądały ręce, nogi, śnieżycą przysypane; gdzieniegdzie poległe zwłoki przykrywano piaskiem, w środek wbijano karabin z zawieszoną czapką, czy pikelhaubą niemiecką na znak, że w tem miejscu spoczywa żołnierz.

Wicher, szalejąc zimą, odsypał piach, gnijące zwłoki odkrywając; nierzadko wbity bagnet na karabinie w grób, dosięgał ciała, może serca poległego, opierając się na niem.

W bagnach znów, nie zamarzłych jeszcze, ranni w przestraszliwych mękach kończyli żywot. — Nadludzka praca sanitaryuszy nie zdołała dotrzeć tam, ani też opatrzyć i pozbierać wszystkich rannych.

Takimi wysiłkami krwi, życia, bohaterstwa zyskało wzgórze pod Bielgowem nazwę „polskiej góry“.

Nazwę tę dali Niemcy, widząc bohaterstwo, widząc krew, walcząc ręka w rękę z Legionami.

Dziś wzgórze to zniesione o kilkanaście metrów; zniosły je pociski armatnie, użyźnione zostało krwią, przepełnione ciałami; to krew polska, to dzieło Legionów.

Nieśmiertelne „polskie wzgórze“.

VI.

— Mamusiu! Kozacy!

— Cicho, Zośka!

— Boję się, mamciu! — skarżyły się usta dziewczyny, wpatrującej się z poza firanek na dziedziniec.

Grodzka przycisnęła córkę silnie do drżącego obawą łona, uspakajając szeptem.

Szarzyzna jesiennego wieczoru zaległa w pokojach dworskich; zgromadzona rodzina skupiła się w bibliotece, nerwowo oczekując dalszych wypadków.

— Wygląda tak — zauważył Grodzki — jak gdybyśmy byli dookoła otoczeni strażą.

— O, patrz! — szepnęła żona. wskazując na przechodzącą wartę koło okna — Straż nas otoczyła.

— Może dla zabezpieczenia dworu przed żołnierstwem, lub też, przypuszczam, dwór nasz został wyznaczony na kwaterę generała, który tu lada chwila się zjawi — pocieszał Grodzki żonę i córki.

Grodzki był niespokojny, ale nie odczuwał żadnej obawy, wynikającej z jakiegokolwiek przestępstwa. Nie ulegało wątpliwości, że ludność tutejsza nie omieszkała oskarżyć ich, oczernić, jednakże uważał, że to, co uczynił, nie było żadną zbrodnią, ani też przestępstwem.

Wyjrzał przez okno.

Przed dworem rozpalono ogniska. przy których zasiedli kozacy, grzejąc się przy ogniu, rozprawiali coś żywo, wskazując na dwór.

Trzęsły się kudłate łby kozackie nad ogniskiem, rzucając od czasu do czasu ukośne błyski oczów: konie, uwiązane do poblizkich drzew, ogryzały korę, rżąc i bijąc kopytami o ziemię.

— Sotnia kozaków, nie widać jednakże oficera — mruknął Grodzki.

— Możeby otworzyć drzwi wchodowe? — zwróciła się z zapytaniem Grodzka.

— Poco?

— Aby uniknąć jakichkolwiek podejrzeń.

— Nie! — odparł krótko Grodzki, marszcząc czoło — Splądrowaliby dwór. We wsi widocznie zrobiono doniesienie, ściągają zeznania. Dlatego kozacy dostali rozkaz pilnowania nas.

— Tak mówisz?

— To pewne!

— I co, przypuszczasz, będzie?

— Nic!

— Nic? — zdziwiona powtórzyła.

— Mogą nas zaaresztować, wywieźć, cóż więcej mogą zrobić?

— Zabić!

— E... — odparł Grodzki — Na to trzeba bandytów, ale nie wojska. Cóż my to znów takiego zrobili?

— Proszę pani! — rzekła służąca, wchodząc do pokoju — Stangret przyszedł ze wsi.

— Tak? — odezwała się ucieszona Grodzka — zawołaj go do pokoju.

Po chwili wszedł stajenny, kłaniając się nizko, pytającym wzrokiem spojrzał na Grodzkiego.

— Byłeś we wsi?

— Byłem! Udało mi się przez stajnię dostać się do wsi i z powrotem wrócić.

— Cóż tam słychać?

— Strach! — szepnął zalękniony chłopak — Chłopstwo zrobiło oskarżenie, przesłuchiwują ruskich na plebanii!

— Cóż mówią?

— O zdradzie!

— Jakto o zdradzie?

— Że państwo przyjmowali nieprzyjaciela, dopomagali i posłali syna do ich wojska.

— Jezu! — szepnęła Grodzka.

— Dałoby się uciec przez stajnię! — objaśniał stajenny — Jabym państwo poprowadził.

— Uciekajmy! — chwyciła się skwapliwie tej myśli Grodzka, zdenerwowanym głosem prosząc męża o wykonanie planu.

— Dokąd nas zaprowadzisz?! — spytał Grodzki.

— No, gdzie, chyba do lasu?

— Pod Maniewicze?

— Może być i tam!

— Tam przecież bitwa!

— No, to do Wólki Gałuzińskiej!

— To nas chwycą i tak! Możnaby się ukryć do lasu na dzień, dwa. Bóg wie, gdzie stamtąd się udać! Zresztą, jak przejść po bagniskach, jak zabrać żywność? Ucieczka pogorszy tylko nasz los. Będą nas ścigać, jak zbrodniarzy. A tak, cóż znaczy to całe oskarżenie? Zwykły donos mściwych chłopów, z którego zdołam się oczyścić!

— Chłopi przysięgają! — zauważył stajenny.

— Uciekajmy! — radziła dalej Grodzka — serce moje przepełnione obawami.

— Dobrze! — zgodził się wkońcu Grodzki, uproszony łzami córek i żony — Zabierajcie wszystkie kosztowności i papiery i trochę żywności.

Niewiasty szybko udały się, aby przygotować się do podróży. Grodzki, włożywszy szaraczkowy mundur, naciągnął wysokie buty z cholewami, za któremi ukrył dwa rewolwery repetierowe, każdy po ośm strzałów.

Poczem zwrócił się do Walka, radząc wspólnie nad planem ucieczki. Należało cichaczem wymknąć się do stajen, skąd wydostać się było można poza ogrodzenia dworskie. Skrawkiem lasu przejść można koło było cerkwi. Droga ta jednakże okazała się niemożliwą, gdyż prowadziła do linii bojowej, a o przedarciu się poza linię nie można było nawet marzyć.

— To na Wólkę Gałuzińską! — doradzał Walek.

— Moczary!

— Przez torfowisko znam drogę, tylko że nie sposób w ciemności iść!

Wreszcie uradzono lasami przedrzeć się koło Wólki Gałuzińskiej, ominąć Czartorysk. następnie zdążać albo w stronę Pińska, lub też Kijowa, zależnie od okoliczności.

Zwrócił im jednakże uwagę gwar i okrzyki, dochodzące ze strony obozujących kozaków.

Grodzki przytknął twarz do załzawionych deszczem i mgłą szklanych okienic, wpatrując się z rozpaczą w kozaków, którzy nagle zerwali się od ognisk, rozkulbaczając konie.

— Gotoweśmy do drogi — szepnęła za nim nadeszła Grodzka.

— Zapóźno! — odparł z rozpaczą.

— Dlaczego?

— Popatrz się! Kozacy z oficerem zmierzają do dworu.

— Chodźmy!

— Zapóźno!

Zaledwie Grodzki wymówił te słowa, kolby karabinów poczęły gwałtownie dobijać się do drzwi wchodowych.

— Otwierać! — krzyknął ktoś po rosyjsku, z wściekłością uderzając w bramę.

Grodzki nie zwlekał. Każdy opór był bezcelowy, pogarszał tylko sytuacyę. Zbudziła się w nim rozpacz człowieka, ściganego przez rozżarte tygrysy; równocześnie wróciła rozwaga, zimna krew. Zoryentował się szybko w położeniu, poskoczył energicznie ku drzwiom.

— Maniu, do pokoju z córkami! — krzyknął do żony.

Przypadł do ciężkich zasuwek żelaznych rękami, nie odchylając ich jednakże, zapytał energicznym głosem:

— Czego?

— Otwierać!

— Kto tam?

Przekleństwo odpowiedziało mu w zamian, wybite szyby ganku upadły z brzękiem na podłogę, rozbijając się na drobne kawałki.

Grodzki szarpnął ryglami. Z impentem roztworzyły się drzwi, naciskane przez szturmujących żołnierzy. W jednej chwili otoczyła go lawa ludzka, zdusiła w swym uścisku.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Postępy oświaty w Królestwie Polskiem.

Drugi rok już mija, jak południowa część Królestwa Polskiego okupowaną została przez władze austryackie. Czas ten wyużytkowuje Królestwo na strząsanie ze siebie śladów, jakie pozostawił na organiźmie społecznym jego i na jego rozwoju bezmyślny w każdym kierunku ucisk rosyjskich rządów biurokratycznych.

Pod tymi rządami, których główną cechą charakterystyczną była właśnie bezmyślność, ta część Królestwa była, jak to mówią, poprostu zabita deskami od świata, od życia kulturalnego, ruchu umysłowego, od postępu w każdej dziedzinie. To też wszystko znajdowało się tam w zastoju — przedewszystkiem zaś oświata. Przytem całe połacie tej dzielnicy, ciekawe nie tylko ze względu na swą teraźniejszość, ale także pełne interesujących zabytków dawnej przeszłości, mówiące nimi dziwnie wyraziście o dawnych dni chwale i dawnej życia polskiego bujności, pełne piękności przyrodzonych, były dla większości ogółu polskiego poprostu terra incognita.

Taką na przykład dzielnicą było do niedawna Pinczowskie i sam patyną wieków pokryty Pinczów, ongi siedziba znanego w Europie w XVI wieku reformatora Łaskiego i socynianów, ognisko ruchu innowierczego i „kościoła polskiego narodowego“. Położony nad Nidą, w miejscu, gdzie najkrwawsze ubiegłego roku rozgrywały się walki, nasuwa on na każdem miejscu wspomnienia przeszłości — zabudowaniami domu i tłoczni ksiąg aryańskich, kościoła aryańskiego, zamienionego na parafialny, murów zamczyska Wielopolskich i pałacu tegoż imienia ordynacyi, pięknymi portalami dworków szlacheckich, co to hotelami je zwano; stąd też w okolicy Wiślicy i Piotrkowa liczne osady tejże nazwy, jako pozostałość polskich tamże zjazdów.

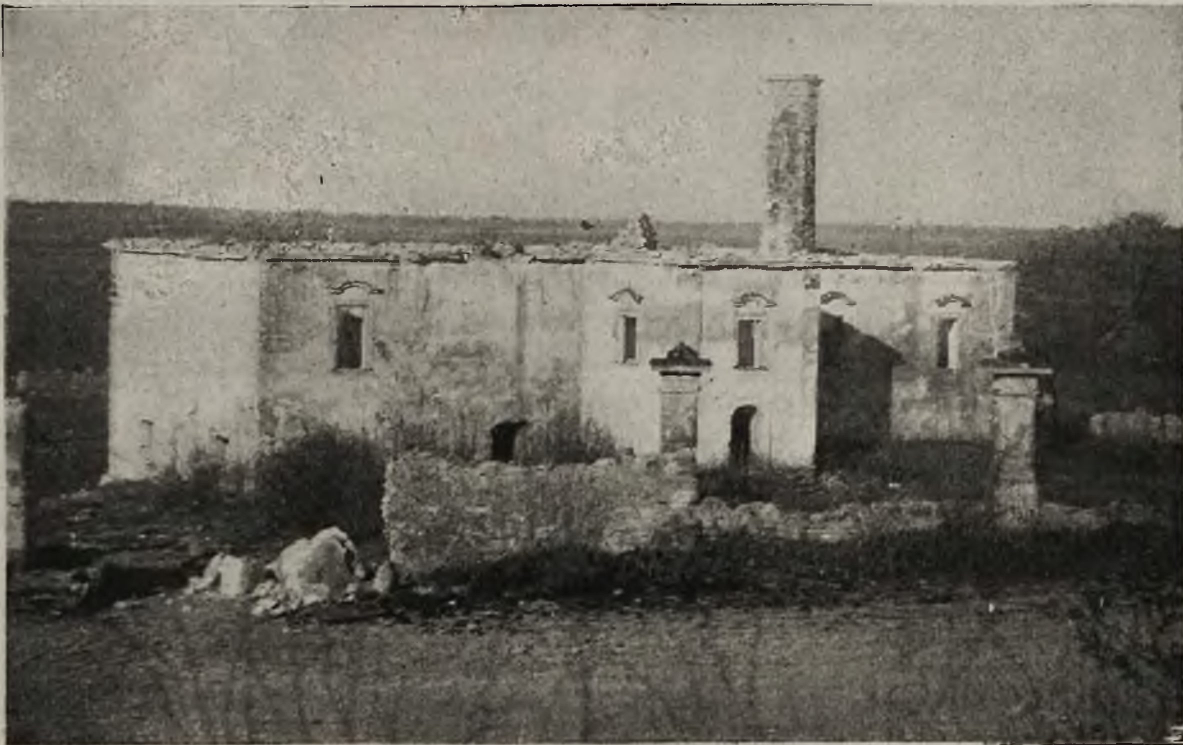
W ostatnim czasie życie kulturalne ponownie zapulsowało na ziemi pinczowskiej i to życie polskie. Społeczeństwo tamtejsze wykazało wielką energię w odbudowaniu tego, co niegdyś tu kwitło, a przez stuletnie rządy obcej przemocy zatarte zostało. Wykazało ducha narodowego, dążenie do uwspółcześnienia swego życia we wszystkich kierunkach, a przedewszystkiem wielki pęd do oświaty. Na tem polu zdziałano tu niezmiernie wiele przy życzliwej zresztą pomocy i współudziale władz okupacyjnych austryackich. Mieliśmy już sposobność pisać o wynikach tej działalności oświatowej; tutaj dość będzie nadmienić, że ze szkół ludowych, które były przed wojną w tym obwodzie, a które wszystkie, z wyjątkiem czterech, zostały zniszczone częściowo lub zburzone, wszystkie odbudowano i zreorganizowano, a nadto pozakładano nowe, tak, że teraz jest ich tam około 150.

Władze okupacyjne ruch ten oświatowy usilnie popierają. Aby nauczaniu tam nadać gruntowne podstawy, tamtejsze komendy obwodowe, zarówno okręgu pinczowskiego, jak stopnickiego, z rozporządzenia generał gubernatorstwa, urządziły kursa naukowe dla nauczycieli, uzupełniające ich zawodowe wykształcenie. W pinczowskim na docentów zaproszono z Krakowa profesorów: dra Jana Magierę i Władysława Rutkowskiego.

Kurs czterotygodniowy obejmował, oprócz literatury, historyi polskiej i geografii — dydaktykę, wiadomości prawno-państwowe i hygienę w prelekcyach p. inspektora szkolnego Tarasa, radcy Rodzynkiewicza i niezwykle zasłużonego na polu zdrowotności fizyka, dra Władysława Pohoreckiego, pod



Postępy oświaty w Królestwie Polskiem: Uczestnicy kursu naukowego dla nauczycieli ziemi pińczowskiej: siedzą, od lewej ku prawej, inspektor szkolny L. Taras, radca Rodzynkiewicz, prof. Rutkowski, kom. obw. pułk Z. Grzymała-Dobiecki, starosta Rożecki, prof Magiera, fizyk dr. W Pohorecki.



Postępy oświaty w Królestwie Polskiem: Dom poaryański w Skowronnem pod Pińczowem

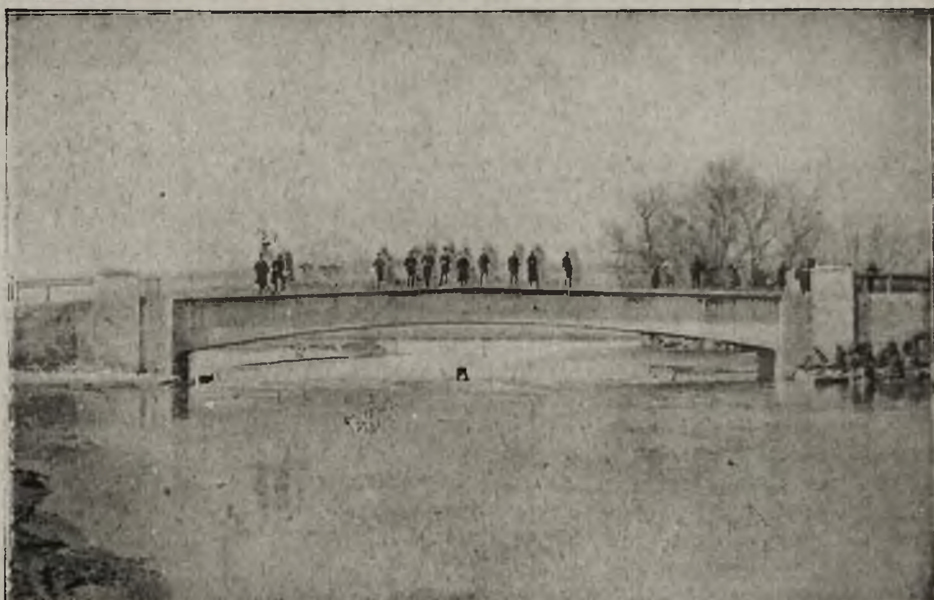


Postępy oświaty w Królestwie Polskiem: Kościół parafialny w Pińczowie (z XVI w.)



Postępy oświaty w Królestwie Polskiem: Wykonawcy „Warszawianki“ w Pińczowie na tle baszty pałacu marg. Wielopolskich (X) Reżyser prof W. Rutkowski, (XX) Marya p M Samborska.





Postępy oświaty w Królestwie Polskiem:

Ogólny widok Pińczowa od strony Nidy. Dawny most nad Nidą w Pińczowie, zburzony przez Rosyan.

którego zarządem pozostaje szpital zakaźny im. św. Juliana w Pinczowie, prawdziwe świadczący dobrodziejstwa ludności miejscowej.

Wykłady prof. Magiery i Rutkowskiego (literatura i historya) cieszyły się wielkiem uznaniem i odczuciem dla polskiego słowa, z polskiej głoszonego katedry, przynosząc niespodziewane wprost rezultaty pod względem naukowym i kulturalnym.

Zakończenie kursu odbyło się dnia 20. sierpnia bardzo uroczyście w obecności komendanta obwodu, pułkownika Zygmunta Grzymały Dobieckiego, który otoczył opieką kurs i ułatwił zjazd nauczycielstwa w Busku.

Za obywatelską działalność poza czynnością służbową, oddanie swej wiedzy i sił oraz pracy nad podniesieniem intelektualnem i kulturalnem szerszych kół miejscowej ludności, c. i k. komenda wyraziła na piśmie docentom, prof. Rutkowskiemu i dr. Magierze, pochwalne uznanie w imieniu najwyższej służby.

Jednym z objawów rozbudzonego przy żywym współudziale sympatycznych gości z Galicyi, docentów kursu, ruchu kulturalnego, było także urządzone siłami kursu nauczycielskiego w Pinczowie przedstawienie „Warszawianki“, które było dla miasta i okolicy prawdziwym ewenementem artystycznym, wywołało żywe zajęcie i entuzyazm.

Odbyło się ono dnia 20. b. m. w Pinczowie po ukończeniu kursu nauczycielskiego. Przepełniona sala darzyła wykonawców, rekrutujących się z członków kursu, niemilknącymi oklaskami za artystyczne odtworzenie tej „pieśni 31 roku“. Z wykonawców wymienić należy prawdziwie artystycznie, ponad miarę amatorską, postawioną kreacyę Maryi w interpretacyi p. M. Samborskiej, Chłopickiego p. Zgrzebnickiego i starego wiarusa p. Kawy.

Zasługa wprowadzenia utworu, zwalczenia licznych trudności lokalnych i artystyczno-reżyserskich „Warszawianki“ przypada prof. W. Rutkowskiemu, który z niezwykłą energią doprowadził przedstawienie do skutku.

Drugi taki kurs naukowy uzupełniający dla nauczycieli odbył się w miasteczku Busko, powiatu stopnickiego, za staraniem tutejszego komendanta, podpułkownika Brudre'a, przy poparciu starosty, p. dra Solańskiego i skutkiem usilnych zabiegów inspektora szkolnego, p. Fr. Krzemienieckiego. W kursie wzięło udział pięćdziesięciu nauczycieli tutejszego okręgu.

Kierownik kursu, p. Krzemieniecki, zabiegał gorliwie, aby uczestnicy mieli należyte pomieszczenie i zdrowy wikt. Metodyki, dydaktyki, historyi wychowania, tudzież gier i zabaw uczył inspektor szkolny. Nauki gramatyki polskiej i dziejów piśmiennictwa polskiego udzielał Jan Anders z Krakowa, naukę historyi polskiej i geografii objął p. Rogowski ze Lwowa. Cenne uwagi z hygieny szkolnej poczynił dr. Biliński. Duch i nastrój między nauczycielstwem był uroczysty. Okazało ono wiele pilności i wiele dobrej woli.

Niezatarte wspomnienie pozostawił po sobie zjazd nauczycielstwa z Pinczowa w Busku. W pięknie





Postępy oświaty w Królestwie Polskiem:

Stara dzielnica „na Mirowie“ w Pińczowie; w głębi klasztor św. Juliana. Dom poaryański (dawna drukarnia aryan) w Pińczowie (z XVI w.)





Postępy oświaty w Królestwie Polskiem:

Kuratoryum i siostry szpitala św. Juliana w Pińczowie; kuratoryum: ks. rektor Wójcik, dr. Wład. Pohorecki, dr. Czyżewski. Budowa drogi w Pińczowskiem.



Busko — park zakładowy.

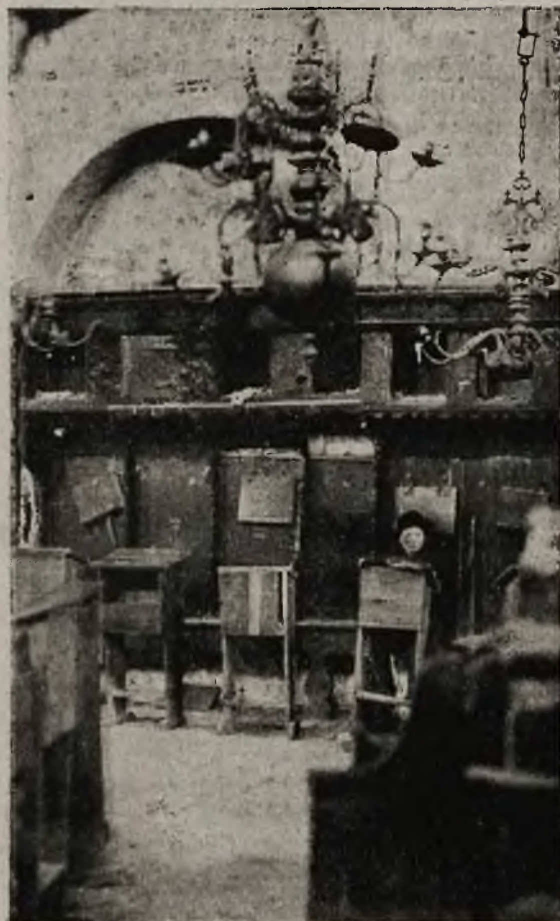


Postępy oświaty w Królestwie Polskiem:

Zakład kąpielowy w Busku.

udekorowanej sali zgromadziła się blizko setka uczestników. Wygłosili przemowy inspektor Krzemieniecki i prof. dr. Jan Magiera z Krakowa. Po zwiedzeniu parku zakładowego, zgromadzili się wieczorem ponownie uczestnicy w sali rady gminnej. Do zebranych przemówił starosta, dr. Solański, podnosząc szlachetne, bardzo gorliwe, skuteczne zabiegi w czasie kursu nauczycielskiego inspektorów szkolnych pp. Fr. Krzemienieckiego i Tarasa, tudzież docentów Jana Andersa, Rogowskiego, dra Magiery i Rutkowskiego. Przemówili następnie inspektorzy szkolni, tudzież pp. Rutkowski, Anders, Rogowski, Magiera. Późną godziną odjechali do Pinczowa w podniosłym nastroju mili goście.

Samo Busko jest miejscowością bardzo interesującą. Miasto samo jest schludne, z charakterystycznym ogrodem na Rynku. Słynniejszym od niego jednak i godniejszym uwagi jest zakład kąpielowy, położony o kilometr od miasta, założony już w roku 1836 i zabudowany według planów słynnego budowniczego warszawskiego Marconiego, rozszerzany ciągle i mający wszelkie nowoczesne wspaniałe urządzenia kąpielowe. Busko posiada w swych dziewię-



Postępy oświaty w Królestwie Polskiem: Wnętrze starej bożnicy w Pińczowie (z XV w.).



Postępy oświaty w Królestwie Polskiem: Kurs naukowy dla nauczycieli w Busku: 1 podpułk. Karol Brudre, 2 starosta dr. Solański, 3. inspektor szkolny Fr. Krzemieniecki, 4. docent kursu Jan Anders, 5 wykład. Rogowski



Modlitwa żołnierska przed wiejskim kościółkiem

Walki na wschodzie:



Budowa ziemianki dla dyw. sanitarnego.



Z dziejów wojennych przymierza niemiecko-austr.: Pobitewne zbratanie: niemieccy i austryaccy żołnierze oraz Francuzi-jeńcy.

ciu źródłach kąpiele siarczane, zawierające także sól kuchenną, jedne z najsilniejszych w Europie; dla kuracyuszy jest piękny park i liczne wille bardzo pięknej architektury.

Podobny kurs naukowy dla nauczycieli odbył się w starożytnym Olkuszu, poparty wybitnie przez komendanta obwodu, pułkownika Kwiatkowskiego, zorganizowany przy udziale inspektora szkolnego, Peszkowskiego, przy współudziale chętnych docentów z Galicyi.

Kursa nauczycielskie o których wyżej mowa, były tylko fragmentem, tej działalności oświatowej, jaka się teraz rozwija w tej dzielnicy Królestwa. Jest ona wszechstronną i stale postępuje naprzód. Takie na przykład Busko ma już Towarzystwo Szkoły Ludowej, które zakłada czytelnie i biblioteki po wsiach, urządza odczyty. W związku z tem, zakładane są w różnych miejscowościach ochronki i przytuliska dla bezdomnych, jak wspomniany już szpital św. Juliana w Pinczowie „na Mirowie“, charakterystycznej staroświeckiej dzielnicy miasta, jak nowozałożony szpital w Chmielniku. To wszystko razem podnosi kulturalny poziom ludności, a przy należytem przez tę ludność ocenianiu dobrodziejstw oświaty i kultury wogóle, o przyszły rozwój tej dzielnicy możemy być spokojni.



Postępy oświaty w Królestwie Polskiem: Korytarz klasztoru św. Juliana w Pińczowie.



Z dziejów wojennych przymierza niemiecko-austr.: Austryacki moździerz 30 5 ctm. przed twierdzą Givet we Francyi w początku wojny.



Walki na wschodzie: Urodziny cesarskie w okopach: herb państwowy austryacki na szańcu.



Z dziejów wojennych przymierza niemiecko-austr.: Sprzymierzeńcy i „gruby wujaszek“.



Z dziejów wojennych przymierza niemiecko-austr.: Żołnierze niemieccy i austryaccy w Metzu.



Walki na wschodzie: Przejście przez rzekę.

GEORGES MEIRS.

Tajemnica indyjskiego pierścienia.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

4

— Obiecałem panience wykazać jej niewinność, pomimo obciążających okoliczności, w jakich się znajdujesz. Ale, ażeby doprowadzić to do skutku, prawdziwy winowajca musi jeszcze przez dni kilka czuć się bezpiecznym. Pozatem, dotąd możemy tylko domyślać się niewinności panienki, a zarzut, ciążący nad nią, może być wówczas dopiero cofnięty, kiedy wina tej drugiej osoby udowodnioną całkiem zostanie. Ale tamten jest zręcznym ptaszkiem. Przy pierwszej nieostrożności z naszej strony może nam popsuć sprawę i obciążyć jeszcze panienkę. Trzeba więc zapomnieć o tem koniecznie, co się tu widziało i słyszało. Pan inspektor i ja, wierzymy, że panienka nie popełniła nic złego. Czy możesz mi, moje dziecko, przyrzeknąć posłuszeństwo zupełne i pójść za mojemi wskazówkami.

— Oh! Tak, panie! — zawołała młoda dziewczyna patrząc z wdzięcznością na detektywa.

— I zaufasz mi zupełnie?

— Zaufam.

Tharps łagodnie pogłaskał ją po głowie i spojrzał z tryumfem na inspektora. Ten zaś nie wierzył własnym uszom. Jakże się to stało? Ta mała bez wahania żadnego zgadzała się przybrać winę na siebie i obiecywała ślepe posłuszeństwo?

Uczyniłem w duchu tę samą uwagę i wtedy to dopiero poznałem w całej pełni niezwykłą zręczność i przekonywującą suggestyę mojego przyjaciela.

Ale nie mieliśmy czasu zastanawiać się dłużej nad tem, gdyż odgłosy kroków przyspieszonych na schodach i głośne zapytania zwiastowały nam przybycie komisarza.

Inspektor Cornet pobiegł spiesznie drzwi otworzyć i na progu ukazała się wyniosła postać pana Tancon.

— Cóż to za nowa historya? — zawołał, spostrzegłszy Wiliama Tharpsa. — Kradzież, czy coś podobnego? O co to chodzi?

Nie czekając na odpowiedź, komisarz szybkim krokiem podszedł do wystraszonej pokojowej.

— To ty podobno jesteś złodziejką, moja panno! — rzekł, patrząc na nią surowo — Znaleziono u ciebie zaginione rzeczy!

Tharps bez słowa skierował się ku oknu i zamknął je starannie, poczem stanął pomiędzy zirytowanym komisarzem, a młodą dziewczyną.

— Znaleźliśmy w tym pokoju walizę — rzekł spokojnie — ale nie było w niej papierów skradzionych profesorowi Schoettenowi. Mojem zdaniem, papiery te, nad stratą których profesor tak boleje, ważniejsze są od tej pustej walizy.

Pan Tancon zastanowił się chwilę.

— Przez tę dziewczynę dowiemy się o reszcie — zaopiniował wkońcu.

— Zdaje mi się, że nie.

— Nie rozumiem pana.

— Przez tę dziewczynę nie dowiemy się niczego — wyrzekł krótko Wiliam Tharps.

— Czy jesteś pan tego pewnym? — zapytał komisarz, patrząc z niedowierzaniem na detektywa.

— Najzupełniej!

— Może zechce mnie pan objaśnić?

— Chętnie.

Tharps ujął komisarza pod rękę, poprowadził go w głąb pokoju. Przez kilka minut trwała ich przyciszona rozmowa. Pan Tancon od czasu do czasu obejmował młodą dziewczynę zdziwionem spojrzeniem i dalej dyskutował z Tharps'em. Widziałem jak wkońcu uśmiechnął się z zadowoleniem i uścisnął serdecznie dłoń mojego przyjaciela.

— Przekonał mnie pan jak najzupełniej — rzekł głośno — Miło jest mieć tak dzielnego pomocnika i wytrawnego fachowca do współdziałania.

Podszedł następnie do drzwi i wydał krótki rozkaz oczekującemu na korytarzu ajentowi.

Po chwili do pokoju weszła pani Donay. Komisarz zamienił z nią kilka słów na osobności i skinął na pokojową, aby zbliżyła się.

— Pani Donay zapewnia mnie — rzekł do niej — że ani na chwilę nie opuszczałaś swojej służby w pokojach i że nie mogłaś wobec tego wynieść walizy z pokoju profesora, chcąc ją ukryć u siebie. Ręczy również za uczciwość twoją i jest pewna, że nie zechcesz się skrycie wydalić z tego domu. Pozostawiam cię więc na wolnej stopie, chociaż nie było to zamiarem moim i pozwalam ci wrócić do zwykłego zajęcia.

Julka, zrozumiawszy sytuacyę, spojrzała z wdzięcznością na Wiliama Tharpsa i podziękowała krótko komisarzowi za jego względy.

— Miejmy nadzieję — rzekł jeszcze pan Tancon — że dalsze śledztwo pomoże nam wykryć winnego i zdejmie z ciebie zarzut, pod którym byłaś dotąd. Pamiętaj jednak, moje dziecko, że pani Donay poręczyła za ciebie, że dom jest naokoło strzeżony i że nadaremnie szukałabyś ucieczki. Wszelkie usiłowanie w tym kierunku szkodliwem by dla ciebie stać się mogło.

Młoda dziewczyna skłoniła się w milczeniu i podeszła do swojej pani, dziękując jej gorąco za okazane jej zaufanie i raz jeszcze wdzięcznie spojrzawszy na Tharpsa, wyszła z pokoju.

Goście pani Donay przyjęli z wielkiem zdziwieniem wiadomość o uwolnieniu pokojowej. Nie mogli pojąć, jak mógł komisarz policyi uznać za niewinną osobę, w pokoju której znaleziono tak oczywisty do wód kradzieży. Zaczęto znowu szeptać i naradzać się, by przyjść do wniosku, że młoda dziewczyna w całej sprawie musiała tylko odegrać rolę nieświadomej ofiary i że prawdziwy winowajca ukrywa się dalej w pensyonacie.

Tylko markiz da Santa Cruza był całkiem innego zdania. Chodził od jednych do drugich, pomrukując i skarżąc się, że urzędnicy policyi francuskiej dziwnie lekkomyślnie i łagodnie postępują ze złodziejami i zbrodniarzami.

Lecz lokatorzy pani Donay niewiele zwracali uwagi na jego oburzenie. Julka była powszechnie lubianą w zakładzie i uwolnienie jej przyjęto z pewną ulgą i zadowoleniem.

Pan Tancon jednak czuł się w obowiązku dania pewnych wyjaśnień profesorowi Schoetten; poprosił go więc o chwilę rozmowy i powiedział, że idąc jedynie za radą detektywa angielskiego, postanowił uwolnić pokojową.

— Ale waliza! Waliza była w jej pokoju! — wołał rozgniewany staruszek — Ona skradła moją walizę, a pan ją wypuszcza na wolność.

— Waliza jest drobiazgiem wobec papierów, jakie zawierała, nieprawdaż? A dotąd tych papierów nie odkryto jeszcze. Jeżeli dziewczynę pozostawiłem na wolnej stopie, to jedynie dlatego, aby ją śledzić dyskretnie. Natychmiastowe jej aresztowanie nie doprowadziłoby nas do niczego, zapewniam pana.

— Rozumiem — odparł uspokojony tem tłumaczeniem profesor — Pan chce ją śledzić i przekonać się, czy porozumie się ze swoimi wspólnikami?

— Rozumie się. Tym sposobem najlepiej dojdziemy do wykrycia prawdy.

Rozumna rada mojego przyjaciela została więc przyjętą przez komisarza i należycie ocenioną.

Celem Tharpsa było wciągnąć pana Tancon w myśl swojego działania, bez zdradzenia mu powziętych przypuszczeń, tyczących się osoby Hiszpana.

Profesor Schoetten jednak żądał pomimo wszystko przeszukania wszystkich pokojów w nadziei odnalezienia swoich cennych planów i papierów i komisarz zmuszony był przychylić się do tego żądania.

Znajdowaliśmy się właśnie na korytarzu drugiego piętra i od tych to pokoi rozpoczęto poszukiwania.

Pomimo, że pokoje służby były już skrupulatnie przetrząśnięte przez Tharpsa, od tych to komisarz rozpoczął śledztwo.

Tharps zaś ze mną pozostał na korytarzu, na wylocie klatki schodowej, gdzie mieściły się pokoje gości.

Kilka osób otaczało nas, inni zaś, pomiędzy któremi był profesor Schoetten i markiz da Santa-Cruza, pospieszyli za komisarzem.

W chwili kiedy pan Tancon po przejrzeniu trzech pokoi wchodził do pokoju służącego Henryka, zauważyłem, że markiz nie towarzyszył mu już więcej, lecz oddalił się spiesznie w kierunku swojego mieszkania. Zaciekawiony jego postępowaniem, obserwowałem go bacznie i postąpiłem parę kroków za nim. Być może, że zauważył, że go śledzę, bo zwolnił kroku i na chwilę, jak gdyby pragnąc samotności, przystanął i wsparł się niedbale o drewnianą balustradę. Nikt na niego nie zwracał uwagi, ja zaś zdaleka i dyskretnie, aby go nie spłoszyć, nie traciłem z oczu żadnego jego ruchu. Wkrótce potem widziałem, jak, oglądając się ostrożnie, wsunął się do swojego pokoju i bez najmniejszego szelestu drzwi powoli przymknął. Pozostał tam kilka minut, poczem wyszedł znowu, zachowując te same środki ostrożności. Mimowoli spojrzałem na Wiliama Tharpsa. Ironiczny uśmiech błąkał się po jego wązkich wargach, poznałem stąd, że i on zauważył dziwne zachowanie się markiza da Santa Cruza. Zachowanie to tembardziej potwierdziło moje podejrzenia co do jego winy i współudziału w kradzieży, dokonanej u profesora Schoetten i dziwiłem się tylko, dlaczego Tharps nie nakazał śledztwa w pokoju Hiszpana. Mogłem się teraz domyślić, w jakim celu ten wszedł do pokoju. Przekonany, pomimo powziętych ostrożności, że wkońcu i u niego śledztwo dokonanem zostanie, musiał zręcznie usunąć dowody, mogące go zdradzić, czy skompromitować. Aleź dlaczego Wiliam Tharps, który musiał poczynić te same co i ja spostrzeżenia, dozwolił mu w tym kierunku na zupełną swobodę ruchów i niczem nie pokrzyżował jego planów?

Przeszukanie pokoju służącego Henryka okazało się również bezowocne, jak i poprzednich. Zanim jednak pan Tancon wszedł do mieszkań, zajmowanych przez gości z pensyonatu, czuł się w obowiązku grzecznie przeprosić ich za tę przykrą konieczność, zaznaczając, że musi to uczynić choćby dla formy, nie chcąc uchybić nakazanym mu przepisom. Przejrzano trzy czy cztery pokoje, poczem nadeszła kolej na pokój pana d'Orwalda, gdzie dokonano zbrodni. Przed drzwiami stał ajent, który miał nakaz strzeżenia bacznie osób, chodzących po korytarzu.

Pan Tancon zabawił tam zaledwie kilka minut, poczem wszedł do sąsiedniego pokoju. Zajęty był on przeź pana Gollmore, Amerykanina. Z najwyższą uprzejmością przyjął wchodzącego komisarza, chętnie otwierał kufry swoje i szafy, żartując przytem swobodnie i wesoło.

Podczas tej czynności markiz da Santa Cruza stał w progu, widocznie zdenerwowany i niespokojny, monologując coś o nieprzyjemności podobnego zarządzenia.

Lokatorem pokoju, mieszczącego się obok, był profesor Schoetten. Pan Tancon wszedł do niego na wyraźne żądanie staruszka i obejrzał dokładnie zamki u szuflad, stolików i kieszenie surduta, w którym schowane były papiery.

Dziwne wzruszenie ogarnęło mnie, kiedy pan Tancon otworzył drzwi mieszkania markiza. Zdjęty ciekawością, stanąłem w pierwszym rzędzie przyglądających się. Nagle popchnięty przez kogoś znalazłem się na samym środku pokoju. Obejrzałem się mimowoli i zobaczyłem za sobą Wiliama Tharpsa. Twarz jego była ożywiona, a oczy jego jasne wyrażały silne zadowolenie, pomieszane z ciekawością. Poznałem, że i on również chciał być obecnym temu przeglądowi.

Mieszkanie markiza da Santa Cruza składało się z obszernego gabinetu i sypialni. Sciany gabinetu przyozdobione były rozlicznemi fotografiami i dyplomami honorowymi.

Dwa olbrzymie kufry zajmowały jedną część sypialni, w której uderzył mnie przyjemny i silny zapach dobrych perfum.

Nic w tem mieszkaniu nie zwracało szczególniejszej uwagi. Markiz z widocznym przymusem grał rolę gospodarza i nie spieszył się wcale z otwieraniem kufrów i szaf. Oparł się niedbale o framugę okna i przyglądał się z niezadowoleniem czynnościom ajenta i komisarza.

Kiedy ujrzał mnie wchodzącego w towarzystwie Wiliama Tharpsa, nie mógł się powstrzymać od ruchu zniecierpliwienia i wściekłości.

Tharps, nie patrząc nawet w jego stronę, objął przeciągłem spojrzeniem gabinet cały i wzrok jego po chwili spoczął na małej figurce z porcelany, zdobiącej kominek. Zdawał się tak być zajęty podziwianiem tej figurki, że nie zwracał wcale uwagi na to, co się wokoło niego działo. Wiedziałem, że przyjaciel mój był znawcą wszelkich antyków i zabytków sztuki, ale odgadłem, że pod tem pozornem zainteresowaniem się kryje się coś innego.

Po krótkim przeglądzie, komisarz, jak to był uczynił ze wszystkimi gośćmi pensyonatu „Donay", poprosił markiza o pokazanie mu papierów swoich, stwierdzających tożsamość jego osoby.

Hiszpan wyniosłym ruchem wyjął portfel, zaznaczając wyrazistą mimiką twarzy, jak ta prośba jest uwłaczająca jego godności i odwrócił się pogardliwie, wzruszając ramionami.

Po niedługiej chwili wyszliśmy z pokoju markiza, nie odkrywszy nic zupełnie.

Ale kiedy komisarz, tłumacząc się i przepraszając, zamykał drzwi za sobą, dobiegł nas śmiech Hiszpana, tak dziwny i ironiczny, że stanęliśmy wszyscy, jak wryci, nie wiedząc, co o tem myśleć.

— Jakiś dziwny człowiek — mruknął pan Tancon.

Podszedłem do Wiliama Tharpsa i szepnąłem cicho:

— Ciekawy jestem, coby powiedział komisarz, gdyby wiedział to, co my wiemy o tym dziwnym człowieku.

Detektyw szybkim ruchem nakazał mi milczenie.

Przeszukanie niższego piętra nie dało żadnego dodatniego rezultatu. Papiery profesora Schoettena

zostały tak dobrze ukryte, jak i zwłoki nieszczęśliwego pana d'Orwalda.

Niemiecki uczony zrozpaczony był stratą. Powtarzał ze łzami w głosie, że zabrano mu owoc dziesięcioletniej, ciężkiej i mozolnej pracy. Jednakże na kilkakrotne zapytania Wiliama Tharpsa, jakiego rodzaju były owe dokumenta skradzione, odpowiadał wymijająco, lub szybko zmieniał temat rozmowy.

Oczy jego wówczas z poza wielkich niebieskich okularów błyszczały zimnem światłem. Zauważyłem zresztą, że ilekroć wspomniano o jego doświadczeniach i pracach naukowych, staruszek okazywał żywe niezadowolenie. Najwidoczniej zazdrosny był o nie i wszystkie dyplomatyczne zabiegi detektywa, aby uczynić go wymowniejszym na tym punkcie, spełzły na niczem.

Już od dłuższej chwili nie widzieliśmy markiza da Santa Cruza. Zamknął się po naszem wyjściu z pokoju i zapewne rozmyślał nad dalszymi swoimi planami.

Komisarz uśmiechnął się, skonstatowawszy jego nieobecność.

— Markiz czuć się musi obrażony za najście go we własnym pokoju — rzekł, zwracając się do Tharpsa.

Detektyw obojętnie wzruszył ramionami.

— Co pan myśli o tej sprawie? — zapytał nagle pan Tancon, bystro patrząc mu w oczy.

— Nic jeszcze — odparł wymijająco Tharps.

— Jednakże dwa te wypadki są bardzo zawikłane — ciągnął dalej komisarz. — Jeżeli pan w nich błądzi, to, przyznać muszę, że i ja nie znalazłem w nich dotąd jasnego rozwiązania.

Staliśmy w rogu wielkiego salonu pani Donay, odsunięci od innych osób. Wiliam Tharps wsparł się o okno i, jak zawsze, przenikliwie obserwował wszystkich. Wzrok jego zimny i surowy trzymał zdaleka ciekawych, którzyby pragnęli zapoznać się z treścią naszej rozmowy.

— To, co się tu stało — odezwał się po chwili komisarz — przechodzi moje zrozumienie. Fakta są bardzo ciekawe. Młody człowiek, pochodzący z doskonałej rodziny, o znanem i szanowanem nazwisku i o którym posiadam wiadomości jak najlepsze, zostaje zamordowany w tajemniczy sposób w swoim pokoju. Zadnej walki, hałasu, krzyku, któryby zwrócił uwagę mieszkańców pensyonatu. Następnie zwłoki zamordowanego w również tajemniczy i zagadkowy sposób znikają nagle w chwili, kiedy dom cały jest w ruchu, ożywiony wiadomością o dokonanem morderstwie. To doprawdy nie do pojęcia! Jakim sposobem i którędy zwłoki te wyniesiono, kiedy obecność gości i personalu powinna była uniemożliwić tak śmiałe przedsięwzięcie? A zaledwie to się stało, giną papiery i dokumenta sąsiedniego lokatora, pochwycone z tą samą zręcznością i śmiałością i żaden ślad po nich nie pozostaje. Nie przywiązuję wielkiej wagi do faktu, złączonego z walizą, choć ciaż mógł nam dać pewne wskazówki, ale tamte! Co pan mówi o tamtych faktach?

Widziałem, jak Wiliam Tharps z trudnością opanowywał nagły wybuch śmiechu.

— No, panie Tharps, niechże pan co powie! — nalegał komisarz. — Nie chce mi się wierzyć, aby pan nie miał jakichkolwiek domysłów.

— Sądzę — odpowiedział nareszcie detektyw — że pan nie widzi tej sprawy we właściwem oświetleniu.

— We właściwem oświetleniu? — powtórzył zdumiony pan Tancon. — Niechże pan zechce jaśniej się wyrażać, bo nic nie rozumiem. Ja widzę tylko jedno...

Ale Tharps stanowczym ruchem przerwał mu i pociągnął do pokoju, sąsiadującego z wielkim salonem. Był to prywatny gabinet pani Donay. Kiedyśmy się tam znaleźli, detektyw z nadzwyczajną swobodą, jak gdyby się znajdował we własnem mieszkaniu, podsunął nam krzesła i poprosił, abyśmy je zajęli. Potem zamknął drzwi na klucz i wyjął z kieszeni pudełko z papierosami.

Rozsiadł się wygodnie w fotelu, zapalił papierosa i rzekł wesoło, puszczając kłęby dymu:

Nic tak nie otwiera umysłu, jak dobry tytoń.

Komisarz z rosnącem zdziwieniem przypatrywał się mu w milczeniu.

— Pan jeszcze nic nie widział — rzekł wkońcu Wiliam Tharps.

— Nic nie widziałem?

— Tak! To wszystko co się dotąd tutaj odegrało, to dopiero początek, inscenizacya do dalszych aktów.

— Co też pan mówi?

— To, co myślę. Musimy zaczekać na resztę, aby wyrobić sobie zdanie o całości.

Na twarzy pana Tancon malowało się zmieszanie i litość. Sądził bowiem, że mój przyjaciel doznał nagłego wstrząśnienia władz umysłowych. Spojrzał na mnie porozumiewawczo, szukając potwierdzenia swojego domysłu. Nie mógł pojąć, jak można nazywać „początkiem" stwierdzony fakt morderstwa i kradzieży i czekać na ciąg dalszy podobnych wypadków.

— Tak, panie komisarzu — mówił dalej Tharps, nie zwracając uwagi na jego zdumienie — To są dopiero preludya, niedługo doczekamy się finału, a ten będzie stokroć ciekawszy, zaręczam panu.

— Nic nie rozumiem — powtórzył ogłupiały komisarz — przypuszczam, że pan nie ma ochoty żartować sobie ze mnie?

— Ależ, co znowu? Chcę tylko pana naprowadzić na pewne spostrzeżenia. Sam pan zauważył, nieprawdaż, że morderstwo na panu d'Orwaldzie zostało dokonane w szczególniejszych okolicznościach?

— Tak jest. To samo każdy przyznać musi.

— Nic w zachowaniu się tego młodego człowieka aż do chwili ostatniej nie wytłumaczyło tego faktu. Pan d'Orwald poza obrębem pensyonatu nie miał żadnych znajomości i lubiany był powszechnie.

— Tak mówią wszyscy.

— Mówił pan, że jeszcze bardziej tajemniczem wydaje się panu zniknięcie zwłok?

— Oczywiście.

— I nie mogąc sobie ani tamtego, ani tego faktu wytłumaczyć, stracił pan nadzieję możności rozwiązania tej zagadki. A jednak nie szukał pan tego rozwiązania poza osobą zamordowanego i nie pytał, czy w życiu jego poza tem, co widocznem było dla wszystkich w pensyonacie, nie znajdzie się coś, co doprowadzi poszukiwania do właściwego celu.

— Przyznaję! — mruknął niezadowolony z siebie komisarz — Ale słowa pana naprowadzają mnie na myśl, że pan to „coś" odnalazł.

— Pomyślałem o tem, co uszło uwagi pana, nic więcej.

— I to jest?

— Pierścień pana d'Orwalda.

— Pierścień?...

— Tak, pierścień, który nosił ten młody człowiek i z którym się nigdy nie rozłączał.

— Oh! Oh! Ależ to nadzwyczajnie interesujące. Niechże pan mówi dalej, kochany panie Tharps.

Komisarz w jednej chwili zmienił zdanie o sławnym detektywie i już nie posądzał go o nagłe zaburzenie władz mózgowych — przeciwnie, patrzył na niego z uznaniem i ciekawością.

Już teraz przeczuwać zaczął, że ma do czynienia ze skomplikowaną machinacyą zbrodniczą, przeprowadzoną z nadzwyczajną przebiegłością i znajomością rzeczy, której celem mógł być ów pierścień, o którym wspomniał detektyw.

W czasie śledztwa jednak drobiazg ten, bo za takie go dotąd uważał, pominięty przez niego został, a teraz mógł przybrać rozmiary wielkiego i ważnego znaczenia.

Komisarz czuł się silnie upokorzonym, że myśl ta nie samoistnie zrodziła się w jego umyśle, lecz podsunięta mu została. W spojrzeniu, jakiem obejmował Tharpsa, malował się, oprócz zdumienia, cień zawiści fachowej i rozdrażnienia. Nie chciał się jednak zdradzić z temi uczuciami i zawołał, siląc się na spokój i swobodę:

— Ależ tak! Ma pan słuszność! Pierścień! Ten pierścień wyjaśnia, dlaczego zamordowanemu odjęto palec u ręki! Muszę panu pogratulować niezwykłego zmysłu spostrzegawczego, panie Tharps. Ale, czy nie przypuszcza pan, do czego ten pierścień służyć mógł mordercy, skoro dla otrzymania go nie lękał się ryzykować własnej głowy?

— Nic jeszcze o tem powiedzieć nie mogę — odpowiedział Tharps — gdyż nic konkretnego w tym kierunku jeszcze nie odkryłem. Przeczuwam tylko, że pierścień jedynie odgrywa w całem zdarzeniu główną rolę i w nim szukać należy przyczyny zbrodni.

— Ah! To ciekawe! To ciekawe! — mruczał zainteresowany komisarz — Tak! Bez wątpienia, tutaj należy szukać głównej przyczyny. Panie Tharps, niechże mi pan poradzi, co mam dalej czynić i jak wyjaśnić tę rzecz całą!

Wiliam Tharps uśmiechnął się i tryumfująco spojrzał na mnie.

— Coby pan na mojem miejscu uczynił? — nalegał pan Tancon, gorączkując się coraz więcej.

— Przeprowadziłbym śledztwo w tym kierunku na własny rachunek, dyskretnie i szybko! — odparł Tharps, wstając.

Spojrzał niedbale na zegarek i zawołał zdumiony:

— Już wpół do pierwszej. Najwyższy czas iść się posilić, bo czuję się dyabelnie głodny. Idziesz ze mną, Synhamie? — zwrócił się do mnie.

— Idę! — odparłem zadowolony, że ta rozmowa zakończyła się już i że będę mógł swobodnie porozumieć się z Tharpsem.

Ale komisarz już teraz nie chciał go z rąk wypuścić. Pragnął jeszcze zasięgnąć u niego dalszych informacyi, bo podejrzywał, że Tharps wie więcej, niż powiedział, i zamęczał go pytaniami.

Ale detektyw stanowczo uchylił się od dalszych odpowiedzi; widząc jednak, że nie tak prędko potrafi się uwolnić od rozgorączkowanego komisarza, zgodził się na towarzyszenie mu raz jeszcze do pokoju pana d'Orwalda.

Wszyscy mieszkańcy pensyonatu, do których dołączył się już teraz markiz da Santa Cruza, zgromadzili się w salonie głównym, oczekując z niecierpliwością na dźwięk dzwonka, mający oznajmić podanie drugiego śniadania, opóźnionego bardzo dnia tego.

Kiedy weszliśmy, rozmowy wszystkie, jak gdyby na znak dany, przycichły w jednej chwili i kilka par oczu z natężonem zapytaniem zwróciło się w naszą stronę.

Komisarz przystąpił do pani Donay i rzekł grzecznie:

— Obecność moja dłuższa w domu pani jest już zbyteczna na razie. Pójdę jeszcze na chwilę do pokoju na górę i pożegnam państwo.

Westchnienie ulgi rozległo się w salonie. Największe zadowolenie okazywał markiz da Santa Cruza. Zdawało się wszystkim zgromadzonym, wykolejonym z zajęć codziennych przez brutalny fakt odkrycia morderstwa, że po usunięciu się policyi wszystko powróci do dawnego, spokojnego trybu.

Nagłe poruszenie się wszystkich w chwili, kiedyśmy zmierzali ku drzwiom, zmusiło pana Tancon do wyrażenia prośby, aby nam pozostawiono wolność ruchów i nie towarzyszono dalej.

Komisarz miał bowiem nadzieję, że znajdzie przecież ślad jakiś w pokoju, gdzie dokonano zbrodni, a może jeszcze więcej liczył na bystrą obserwacyę i pomoc Tharpsa w tym względzie. Od ostatniej z nim rozmowy oceniał należycie zdolności tego człowieka i chętnieby się kierował jego wskazówkami.

Na tle nowego horyzontu, który Tharps przed nim otworzył, widział już zarysy głośnego sukcesu i rozwiązania sprawy, w której błądził dotąd bez skutku.

Weszliśmy do pokoju pana d'Orwalda i ku naszemu zdumieniu ujrzeliśmy, że pozostawiony tam na straży ajent śpi w najlepsze, wpół leżąc w głębokim fotelu.

Pan Tancon, nie mogąc opanować oburzenia, podszedł do niego gwałtownie i pochwyciwszy za ramię, potrząsnął nim kilkakrotnie.

Przeciągłe chrapanie wybiegło z piersi ajenta, lecz nie obudził się.

— Co za bydlę! — mruknął komisarz, potrząsając raz jeszcze uśpionym tak silnie, że ten o mało nie spadł z fotelu.

Tharps żywo postąpił ku niemu. Ciężki sen ajenta nie wydawał się naturalnym. Podszedłem również i z piersi naszych wybiegł równocześnie okrzyk zdziwienia.

— Co to takiego? — zapytał poruszony komisarz.

Wiliam Tharps w milczeniu wskazał palcem na piersi śpiącego.

Przez uchylony mundur widniała przypięta szpilką do kamizelki niewielka ćwiartka papieru.

Tharps odpiął ją i podał komisarzowi, lecz tenże, jakby wylękniony, cofnął się raptownie, szeroko otwierając oczy. Wziąłem więc kartkę z rąk Tharpsa i, przeczytawszy skreślone na niej wyrazy, zawołałem, niemniej osłupiały od pana Tancon:

— Ludovic Marmont!

— Tak! Ludovic Marmont — odparł spokojnie Wiliam Tharps. — Nie dziwię się temu wcale.

Długą chwilę nie mogłem otrząsnąć się z wrażenia.

Ludovic Marmont! Ten słynny awanturnik, o którym niedawno jeszcze krążyły tak dziwne i nieprawdopodobne wieści. I znowu teraz tak nagle i nieoczekiwanie występował na widownię, aby niepokoić umysły i bezpieczeństwo ludzi, drżących przed jego znienawidzonem nazwiskiem!

Spojrzeliśmy z komisarzem na Wiliama Tharpsa. Stał nad ajentem, pogwizdując z cicha, lecz z pionowej zmarszczki, przecinającej jego czoło, poznałem, że umysł jego pracuje intenzywnie.

— Czeka nas niemała robota! — przerwał milczenie pan Tancon — i musimy być silnie uzbrojeni przeciw temu człowiekowi. Nie pierwszy on już raz z rąk naszych się wymyka. Co teraz uczynić nam należy, panie Tharps?

(Ciąg dalszy nastąpi)

Walki na wschodzie.

Z chwilą, odkąd rozpoczęła się nowa ofenzywa rosyjska na wschodnim froncie, skierowana głównie na południowe tegoż odcinki, zwróciła się też w tamtą stronę i uwaga ogółu. Postępy wojsk rosyjskich na terytoryum Galicyi i Bukowiny i na zajętych obszarach Wołynia, Podola i Litwy są minimalne w stosunku do olbrzymich strat, jakie one tam ponoszą. Rosyjskie dowództwo nie żałuje materyału ludzkiego, mając go poddostatkiem, rozporządza też doskonałą artyleryą, w którą zaopatrzyli ją sprzymierzeńcy.

To jednak nie pomaga. Na każdym kroku napotykają Moskale na zacięty opór wojsk austryacko-niemieckich, muszą też, zwłaszcza na Podolu i Wołyniu, a także i w okolicy Karpat walczyć z ogromnemi trudnościami terenowemi.

Ale i po naszej stronie straty są też wielkie, zwłaszcza, jeśli się zważy, że są miejsca, gdzie jeden nasz żołnierz ma przeciw sobie dziesięciu nieprzyjaciół.

To też okolice, położone na wschodnim froncie, zasiane są poprostu cmentarzami, na których spoczywają ciała poległych. — Znaleźli tu odpoczynek i ukojenie ci, którzy z bronią w ręku niedawno stawali naprzeciw siebie.

Ferdynand Feldman w Krakowie.

Aktorzy — przeważnie wędrowne to plemię; bywają jednakże artyści sceny, tak związani z jakimś teatrem, że niemal niepodobna wyobrazić sobie tej sceny bez nich, a artysty nie w danym teatrze. Do takich, zdawało się, „nierozerwalnie zaślubionych“ ze swoją sceną należał Ferdynand Feldman, artysta teatru lwowskiego, gdzie przebył dwadzieścia sześć lat — niemal całe przeciętne życie jednego pokolenia.

A jednak związek ten, który wydawał się nierozerwalnym, zerwał się — Feldman opuścił Lwów i przenosi się do Krakowa. Niewątpliwie — zerwanie to kosztowało oboje zrywających uczuciowo wiele, ale stroną tracącą był teatr lwowski. Artysta tej miary, co Feldman, „wszystko swoje nosi z sobą“; co stracił Lwów — zyskuje scena krakowska. Zdobyła ona w Feldmanie wybitną indywidualność w dziedzinie sztuki scenicznej, artystę twórczego, równie doświadczonego jak różnostronnego, którego kreacye stanowiły pewien określony typ aktorskiej sztuki i zarazem wzór dla całej generacyi adeptów sceny we Lwowie. — Kraków teatralny Feldmana-artystę i jego kreacye zna — niedawno miał sposobność znajomość tę odświeżyć — i powita go teraz na deskach swojej sceny z taką radością, z jakim żalem go żegnał Lwów, gdzie Feldman przez ćwierć wieku, w złej i dobrej doli tamtejszego teatru, pracował na uznanie i ogólną sympatyę. „Urodzony Napoleon“, niezwykle dramatyczny „Shylock“, świetny „farmaceuta“ z „Domu otwartego“, niezrównany „Benet“, znakomity szambelan z „Ciotuni“ Fredry i cały olbrzymi szereg postaci, którym on nadał życie własne — to dorobek długoletniej pracy i nieprzeciętnego talentu, a paszport do pewnej sympatyi Krakowa. Tej zresztą zdobywać p. Feldman u nas nie potrzebuje; wita go tutaj żywa pamięć niedawnych występów, gromadzących w teatrze ludowym wszystkich znawców kunsztu aktorskiego. Obecnie, gdy pozyskała p. Feldmana na stałe scena im. Słowackiego, ujrzymy go w kreacyach także i z poważniejszego repertuaru, o których świetności dochodziły nas echa ze Lwowa.

Obecne zatem „przenosiny“ artysty na scenę krakowską nie będą zbyt trudne, ani przykre; nowa siedziba i nowe pole działalności staną się dlań, mamy nadzieję, równie swojskie jak dawne i artystę równie trwałe z niemi połączą węzły.



Ferdynand Feldman w Krakowie: Feldman w roli Napoleona.

Bezsilna zemsta Włochów.

W tych dniach rząd włoski ogłosił dość osobliwy dokument: rozporządzenie o konfiskacie gmachu Palazzo di Venezia w Rzymie, należącego do rządu Austro-Węgier, na rzecz rządu włoskiego. Według uzasadnienia włoskiego „konfiskata“ ta, czyli grabież ma być rzekomo odpowiednią czy też odszkodowaniem za zbombardowanie przez austryackich lotników paru kościołów i zabytków sztuki w Wenecyi.

Oczywiście jest to tylko usprawiedliwienie sofistyczne, dowodzące bezsilnej złości Włochów.

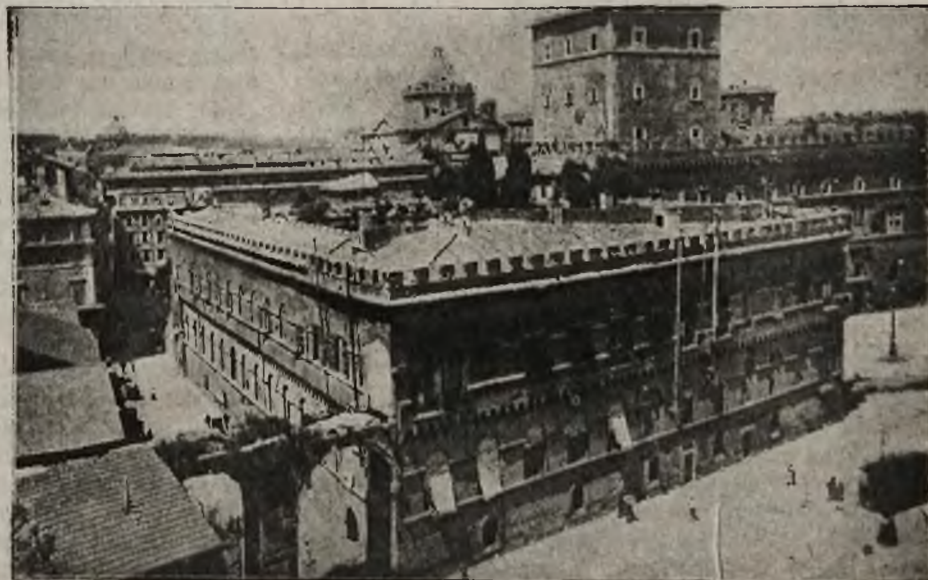
Palazzo di Venezia jest jednym z najsłynniejszych i najpiękniejszych pałaców rzymskich. Wspaniały ten gmach, położony w samem centrum Rzymu, przy piazza Venezia, niedaleko Kapitolu, słynie ze swego pięknie urządzonego wnętrza i cudownego dziedzińca z kolumnadą; pochodzi z drugiej połowy XV. w.



Ferdynand Feldman w Krakowie: Feldman w roli Shylocka z „kupca weneckiego“ Szekspira.



Na południowym froncie: Obóz u stóp gór.



Bezsilna zemsta Włochów: Skonfiskowane przez rząd włoski Palazzo Venezia w Rzymie, własność rządu austryackiego.

Kronika tygodniowa.

Na ogólne żądanie daję już spokój uchwałom dotacyjno emerytalnym krakowskiej Rady miejskiej, a przechodzę do polityki, której już od dłuższego czasu należycie nie respektowałem, wobec czego straciłem bardzo wiele na wartości w oczach naszych krajowych polityków „od marmurowego stolika“.

A jest o czem pisać. Pierwsza honorowa wzmianka należy się handlowej łodzi podwodnej „*Deutschland*“, która wracając nie tylko cało, ale nawet obładowana różnemi cennemi rzeczami, pokazała Anglikom, że ich panowanie na morzu nie jest jeszcze zupełne. Nie dziwię się zupełnie radości, jaka z tego powodu zapanowała w Niemczech i czarnej melancholii, która kąsa w chude łydki synów Albionu. Co się dzieje z drugą łodzią, „*Bremen*“, dotąd nie wiemy, być może, że w chwili, gdy to piszę, ląduje gdzieś u brzegów neutralnej Ameryki, mającej zawsze na sprzedaż najrozmaitsze towary najwięcej dającemu.

Początek już zrobiony i to szczęśliwie; odtąd handel odbywać się będzie przy pomocy kolei podziemnych, łodzi podwodnych i aeroplanów lub balonów, które dla oka ludzkiego są niewidzialne, ataki więc nieprzyjaciół będą bardzo utrudnione, a umysł ludzki będzie się znów silić zmuszony, aby wynaleźć na nie nowe środki niszczące, ale tylko w imię uczuć ludzkości. O nich ciągle się mówi i pisze, ale w myśl ich zbyt mało się działa.

Ci, którzy porobili zakłady, że „*Deutschland*“ do ojczyzny szczęśliwie powróci, a jest takich dość i w Krakowie w najrozmaitszych sferach, zajmujących się światową polityką, zrobili bardzo dobry interes, teraz mają też zamiar powtórzyć to samo odnośnie do „*Bremen*“, a niektórzy z nich, wchodzący w skład Rady miejskiej, postanowili wystąpić z wnioskiem, aby Kraków zaopatrzył się także w tego rodzaju łodzie podwodne. Jedną przeznaczonoby dla prezydyum do jego wyłącznego użytku, drugą dla komisyi aprowizacyjnej, trzecią dla Zakładu czyszczenia miasta i tak dalej. Utrzymywałyby one stałą komunikacyę osobową i handlową między starym Krakowem a gminami przyłączonemi, położonemi z tamtej strony Wisły, zwoziłyby artykuły spożywcze, wywoziły śmieci i inne nieczystości, słowem zajęłyby miejsce automobilów, powozów, Smoków, Talardów i t. d., a Kraków nabrałby więcej wielkomiejskiego charakteru, o który tak mu się zawsze rozchodzi.

Powie kto może, że na podobne inwestycye brak monety, ja mu zaraz odpowiem, że się myli. — U nas pieniądze muszą się znaleźć i znajdują się, ilekroć ich potrzeba, łodzie zaś podwodne, wobec planowanego zaprowadzenia całej sieci nowych dróg wodnych, mogą znaleźć jak najszersze zastosowanie.

Oprócz „*Deutschlandu*“ chodziło nam i chodzi wciąż po głowie Rumunia. Polityk wielki i mały zastanawiał się bez ustanku nad tem, czy pan Bratianu jeszcze myśli, a jeśli myśli, to nad czem i jakie będą skutki. Wiadomą jest rzeczą, że Rumuni to bardzo przemyślny naród, mający tylko własny interes na celu, czego już nieraz dali nam dowody i z czystem sercem można powiedzieć, że na swej neutralności zrobili dotąd brylantowe geszefty (n. p. sprzedając za drogie pieniądze stech'łą mąkę i t. d.). Nie tracą też nadziei, że i nadal wieść im się będzie tak samo, bo gdzie się dwu bije, tam trzeci korzysta. Niechaj jednak pamiętają o tem smutnem zdarzeniu, jakie już nieraz miało miejsce i to tak w życiu codziennem, jak i w polityce. Pobiło się dwu sąsiadów, trzeci tylko czekał na to i już z góry obliczał sobie, jakie z tego odniesie korzyści, jeśli tylko potrafi się wmieszać do walki w stosownej chwili. Ale w tem sęk, że się to nie zawsze udaje i ów *tertius gaudens* z przysłowia nieraz gorzko potem płacze, jeśli mu się nie powiedzie i miast z zyskiem, wychodzi z sińcami. Dwu bowiem bijących zwykle się pogodzi, a potem obaj zabierają się do tego jegomościa, który na ich sąsiedzkich nieporozumieniach chciał zrobić interes i zaczynają mu trzepać szarawary.

Otóż pan Bratianu, jako wytrawny polityk, zastanawiał się, jak się dowiedziałem, właśnie nad tem, aby wynaleźć ową stosowną chwilę, a nie narazić się na przykre konsekwencye, gdyby się to przypadkiem nie udało. Myśli więc i myśli, ale widocznie nic dotąd jeszcze mądrego nie wymyślił, od wołano bowiem, jak się potem pokazało chwilowo, wielką rumuńską Radę koronną, która miała powziąć decydujące postanowienia. A trzeba pamiętać o tem, że apetyty rumuńskie idą w różnych kierunkach. Z jednej strony pachnie im Bukowina, z drugiej Siedmiogród, z trzeciej Bessarabia, nie pogardziliby też i dalszym ciągiem posiadłości bułgarskich, z których kawał spory i to bez wystrzału udało się im uszczknąć podczas wojny bałkańskiej. — Pamiętają o tem dotąd i byliby radzi, gdyby coś podobnego można było i teraz powtórzyć.

A kto wie, czy jakaś decydująca chwila się nie zbliża, choć na razie panuje niby spokój, mogący jednak być zwiastunem wielkiej burzy. Na południu ofenzywa niemiecko-bułgarska postępuje ciągle naprzód, wojska koalicyi, zostające pod Salonikami, pod rozkazami jenerała Sarraila, coraz bardziej zbliżają się ku morzu. Turcy na wszystkich frontach mają powodzenie, Włochom zaś ciągle idzie jak z kamienia, choć Annunzio zagrzewa ich swymi utworami, rozrzucanymi z aeroplanów pośród walczących. Zbierają je, gdyż papier się przyda i w rowie strzeleckim. Ofenzywa angielsko francuska na zachodzie kuleje, na wschodnim zaś froncie czynią się ciągle przygotowania, z czego można wnosić, że coś wisi w powietrzu, ale gdzie i jak to pęknie, tego nikt przewidzieć nie może, nawet pan Bratianu i dlatego myśli tylko i czeka. — Krok jeden naprzód zrobili w ostatniej chwili Włosi, wypowiadając Niemcom wojnę i to daje powód naszym politykom i dyplomatom do przypuszczeń, że jeżeli kiedy, to teraz nastąpi rozstrzygnięcie, że więc doczekamy się może owego upragnionego pokoju i końca wojny. — Są przecież ludzie, którzy tego wcale nie pragną, owszem nie mieliby nic przeciw temu, gdyby obecna wojna trwała nawet i lat trzydzieści. Do ich szeregu należą różni przedsiębiorcy i przemysłowcy, którzy na wojnie robią doskonałe interesy, co im jednakowoż nie przeszkadza w narzekaniu na ciężkie czasy. — Tego samego zdania są także i różni panowie, pobierający ładne pensyjki, a nie narażający się na niebezpieczeństwo, stale bowiem przebywają daleko poza linią bojową. Trzydzieści zaś lat wojny liczą za sześćdziesiąt, zupełnie tak samo, jak i w małżeństwie!

Inaczej przecież mówimy my, zwykli śmiertelnicy, którzy ani w dostawach udziału nie bierzemy, ani pensyi wyższych nie mamy, musimy zaś za wszystko płacić podwójnie, a nawet potrójnie i z bólem konstatujemy na końcu każdego miesiąca, że w żaden sposób nie chce się zejść koniec z końcem, a każdy miesiąc zamyka się deficytem! A czem go pokryć? Chyba krótkoterminową pożyczką, którą się spłaci z długoterminowej, zaciągnąć się mającej, ale dopiero po wojnie. I właśnie z tego powodu potrzeba nam pokoju i to rychło, tych bowiem miesięcznych deficytów nazbierało się zbyt wiele, a nawet we wojennym czasie nie można przecież żyć z procentów od swych długów.

Jeśli więc pan Bratianu miałby być owym języczkiem, mającym oznaczyć przechylenie się równowagi na tę, lub tamtą stronę, niech robi, ale mądrze, pamiętając zawsze o tem, com wyżej powiedział, że czasem ów „trzeci“, a tym on jest obecnie, może wyjść źle na wmieszaniu się w spór dwu walczących. Przysłowia są filozofią narodów, tak orzekł jakiś starożytny mędrzec, istnieje zaś przysłowie, że „gdzie się dwu bije, tam trzeci korzysta“, ale znanem jest też zdanie, iż „niema reguły bez wyjątku“, czyli, że z tej imprezy mógłby wyjść co najmniej... z kwitkiem.

Wojnę należałoby zresztą skończyć już choćby z tego powodu, że rozpoczyna się rok szkolny, trzeci z rzędu wojenny. Nasza młodzież już od lat dziesięciu żywota zajmuje się polityką, śledzi więc przebieg walk, wobec czego nie ma czasu na zajmowanie się nauką, schodzącą *eo ipso* na drugi plan. Przez dwa ubiegłe lata szkolne szkoły funkcyonowały wprawdzie podobno „jakotako“ (tak przynajmniej zapewnia nas Rada szkolna krajowa), ci jednak, którzy ze szkołą mają jakowąś styczność, wiedzą, że wiele owa nauka nie była wartą, że robiło się poprostu „coś“, ale nie tyle, ile się robić było powinno. — Niech jeszcze z rok lub dwa stan taki potrwa, młode pokolenie, które się teraz kształci, wejdzie w życie z przeświadczeniem, że zawsze uda się tak lekko przebrnąć do celu i spuści potem nos na kwintę, gdy się przekona, że jest w błędzie. Ze względu więc na dobro owej młodzieży powinna się i Rada szkolna krajowa postarać jak najprędzej o pokój.

A trzeba wiedzieć, że obie walczące strony, to jest tak koalicya, jak i mocarstwa centralne przygotowały już warunki, na mocy których możnaby mówić o pokoju. O ile jednak te ostatnie nic o nich nie wspominają, o tyle znów, zwłaszcza Anglia, ciągle je w swych pismach ogłasza. Ostatecznym celem Anglii, Francyi i jej sprzymierzeńców jest zupełne osłabienie potęgi militarnej Niemiec, a tem samem i sprzymierzonej z niemi Austryi. Ma to być przeprowadzone w ten sposób, iż cały niemiecki materyał wojenny musi być zniszczony, albo rozdzielony między zwycięzców, także to samo ma się stać z niemieckiemi koloniami. — Taką samą ilość tonn okrętów, jaką Niemcy w tej wojnie zatopili, musieliby oddać. Okręty wojenne niemieckie ulegają konfiskacie, sprzymierzeni zajmują też najważniejsze punkty oparcia wojennej marynarki niemieckiej.

Jeszcze ostrzejsze są warunki pokojowe co do rekompensat terytoryalnych. Tutaj Anglia o sobie nie myśli, pamięta jednak o sprzymierzonych i zapominając, że skóra jeszcze na baranie i że ten baran jeszcze żyje, oddaje Francyi Alzacyę i Lotaryngię i obiecuje jej sprostować granicę między Renem a Mozelą. Włochy otrzymają Trentino, Istryę i część Dalmacyi. Austryi w drodze łaski zostawia się jako port Fiume, w zamian jednak musi ona wydać wszystkie swe okręty wojenne, które koalicya rozdzieli pomiędzy siebie. Belgia przypadnie Belgom, Bośnia i Hercegowina, kraj koło Zemunia i część Dalmacyi z dwoma dobrymi portami stanowić będą część składową Wielkiej Serbii. Rosya otrzymuje też swoją porcyę, to jest część Galicyi i Bukowinę, o ile Rumunia nie zasłuży sobie na prawo do części tej ostatniej. Bułgaryę rozszerzy się terytoryalnie, zniszczy zaś pod względem militarnym, a króla Ferdynanda wyśle się w dobrze zasłużony stan spoczynku.

Dopiero, zastanawiając się nad obszarami, stanowiącymi część składową Turcyi, przypominają sobie Anglicy o samych sobie. Rosyi oddają Konstantynopol, sami zabierają te prowincye, które im są potrzebne, sułtanowi, by się zbytnio nie martwił, zostawiają mały ogryzek jego byłego imperyum...

Jest to zaledwie mała część pobożnych życzeń, które nigdy spełnić się nie mają, gdyż nikt chyba nie przypuści, by się na nie mogły zgodzić mocarstwa centralne, nawet, gdyby zwycięstwo ostateczne nie padło na ich stronę. Anglia stałaby się wówczas panią całego świata, ogon jej sukni nosiliby jej dzisiejsi sprzymierzeńcy, którzy wówczas dopiero przyszliby do przekonania, że dla niej, nie dla siebie wyjmowali kasztany z pieca.

Ale miejmy nadzieję, że do tego nie przyjdzie. Armie mocarstw centralnych w połączeniu z Turkami i Bułgaryą okazały tyle siły i odporności, że koalicya, pomimo pomocy neutralnych, nie da im rady.

Co mnie tylko dziwi w tych wszystkich komunikatach pokojowych, uspirowanych przez rządy koalicyi, to powtarzająca się stale wzmianka, że „żądania Rosyi co do Polski nie są jeszcze, jak się zdaje, sformułowane“... Widocznie boją się za dużo powiedzieć, by się swemu sprzymierzeńcowi nie narazić, a ten milczy w tej kwestyi jak... skała! I on boi się, by przypadkiem zbyt wiele nie obiecał. — Półgębkiem dodają jednak Anglicy, iż gdyby car chciał włączyć do "Polski rosyjskiej“ Toruń, Poznań i inne dotąd w rękach niemieckich znajdujące się okręgi polskie, to byłoby to nawet w interesie sprzymierzonych, gdyż osłabiłoby Prusy. Część Galicyi, jak już wyżej wspomniałem, ofiarowano też Rosyi.

Właśnie w chwili, gdy to piszę, otrzymuję telefoniczną wiadomość, że Rumunia wypowiedziała Austryi wojnę, że więc pan Bratianu już się namyślił... Jaka szkoda, że kronika już gotowa, gdyż z innej byłbym zaczął beczki, a tu teraz pan metrampaż na przeniesienie nie pozwoli, co najwyżej zgodzi się na dodanie niniejszego rumuńskiego przyszczypka.

Dalszy więc ciąg w następnym numerze, na razie zaś by Czytelnicy nie myśleli przypadkiem, że i mnie jakaś melancholia zaczyna ogarniać, jako zakończenie kroniki wesoły epizod pod tytułem: „Afera pani Poincaré z orangutanem“.

Babina, aby sobie odetchnąć, wyszła z swym małżonkiem do ogrodu. Pana prezydenta zmusiły okoliczności do odejścia chwilowo na bok (otrzymał podobno jakąś ważną depeszę), wtem słyszy krzyk swej rodzonej żony. Pędzi więc ile sił starczy na pomoc i widzi niewiastę w objęciach... orangutana. W pierwszej chwili myślał, że to któryś z kolorowych sprzymierzeńców, później się dopiero połapał i dalejże wołać gwałtu. Zbiegła się służba, przybył i sąsiad, którego własnością był orangutan i wreszcie udało się napastnika zapędzić do klatki, z której się „wyewakuował“, choć nie miał na to pozwolenia z komendy...

Gdy pani Poincaré przyszła do siebie, rzekła do męża:

— Ach, jak się przeraziłam! Byłam pewna, że to jakiś oficer senegalski, to mnie tylko dziwiło, iż był... bez krawatki...

I na tem koniec.



Zagadki do nagrody.

Łamigłówka literacka.
Ułożył Ks. Kibicki, Kraków.

Znaleźć nazwiska autorów podanych dzieł. Początkowe ich litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko autora zbioru przysłów polskich.

Nea?
Oczy?
As?
Ona?
Łuna?
Nina?
Sama?
Benet?
Lili?
Ifigenia?
Nego?
Atma?
Echo?

Logogryf.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Środkowy rząd pionowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwisko jednego z cudów natury, znanego w całym świecie.

□
– □ –
– – □ – –
– – – □ – – –
– – – – □ – – – –
– – – – □ – – – –
– – – – □ – – – –
– – – – □ – – – –
– – – – □ – – – –
– – – – □ – – – –
– – – – □ – – – –
– – – □ – – –
– – □ – –
– □ –
□

Znaczenie wyrazów: 1 Spółgłoska. 2 Bóg grecki. 3 Zjawisko optyczne 4 Gwiazda. 5 Imię męskie 6 Jenerał polski 7 Mityczna wieszczka 8 Dawna nazwa Słowian 9. Znak Zodyaku 10 Gatunek tytoniu 11 Cesarz rzymski 12 Imię żeńskie 13. Grupa gwiazd 14 Ptak 15. Samogłoska.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

O! Za gajem księdza Zet w dole śpi. Wit z nią. E!

Okienko.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym

a a c c d d e e e
e e e
e e i
i i i
k m m o o o o p p
r r r
r r s
s s t
t u u w w z z z z

Znaczenie wyrazów: 1. Owad. 2 Plan gry w teatrze. 3. Ptak

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Czy beg Roch Ł kochał wtedy z biedy dzwon Ewy?

Trójkąt magiczny.
Ułożył Horowitz, Stanisławów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko polskiego powieściopisarza.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ – – – – – – – – – –
□ – – – – – – – – –
□ – – – – – – – –
□ – – – – – – –
□ – – – – – –
□ – – – – –
□ – – – –
□ – – –
□ – –
□ –
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz 2 Słynny biskup krakowski 3. Przywódca albański 4 Cesarz francuski. 5. Zdrobniałe imię męskie. 6 Inaczej Włochy 7. Wyspa grecka. 8 Napój. 9 Imię słowiańskie. 10. Zaimek pytajny. 11. Spółgłoska

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Żyd kadzi we dnie węża żon w dzióbie sowy

Bilety wizytowe.
Ułożył J. Przecławski, Podgórze.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

WAŁKIN.
ŁUNA.
HRYCIO DANKA
TRAPIEC.
I J. RUBEL.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości" na r. 1916.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 34.

Przekładanka: Barak. erkan labet. ekran. serce. ławka aktor warta. plecy r bak. nbior amoła

Zadania do przestawienia: Zanim złodziej skradnie wołu, najpierw próbuje indyka

Okienko

S n i e g
n s o
i s k e r
e e y
g o r y l

Szarada: Karolek.

Logogryf:

O
o s a
s t u ł a
B l ü c h e r
m a h o ń
d o g
w
p a y
b u k a t
S a p i e h o

Logogryf:

R o u s s e a u
r e w o l w e r
s z y d e ł k o
s z y m p a n s
s z p r o t k a
l e w k o n i a
r e n g l o t y
c i e t r z e w

Równanie:
Niezapominajka + Konstantynopol + Eskalibor = **Zapolska.**
Jak cień + Tęcznik liszkarz + Bawełna strzelnicza = **Jak tęcza.**

Kwadrat magiczny:

B u s k
U r a l
s a l a
k l a k

Bilety wizytowe: Przewoźnik. Holownik. Terminator Flisak. Kapitan okrętowy.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W. Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Poznań. S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Sucha, J. Broda Kraków. M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki. J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Sedyńska Zakopane, J. Kopczyńska Bierzanów, R. Knapik Kraków, W. Świrski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, S. Medyński Zakopane, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Kraków, J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków, J Baczyński Kraków, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadulska Krakow, W. Krzywicki Praga. K. Reichenberg Cieszyn, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów, T. Rzepecki Poznań, S Kamocki Wiedeń, H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga, I. Brzostowski Chrzanów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Baczyński, Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Dyrekcya Krajowej Szkoły kupieckiej w Przemyślu ogłasza, że wpisy do dwuklasowej Szkoły kupieckiej męskiej i na jednoroczny kurs handlowy żeński odbędą się 31 sierpnia i 1 września.

Warunki przyjęcia do szkoły dwuklasowej: do klasy przygotowawczej: ukończenie 13 lat życia i co najmniej IV klasy szkoły ludowej. oraz złożenie egzaminu wstępnego z języka polskiego i rachunków; do klasy I, ukończenie 14 lat i III klasy szkoły średniej lub wydziałowej, względnie złożenie egzaminu wstępnego z materyału klasy przygotowawczej

Warunkiem przyjęcia na kurs handlowy żeński jest ukończenie 14 lat życia i III. klasy wydziałowej, licealnej lub średniej. względnie złożenie egzaminu wstępnego z zakresu nauk, udzielanych w trzyklasowej szkole wydziałowej.

Szkoła kupiecka ma na celu przygotowanie młodzieży do zawodu handlowego i danie jej całokształtu wiadomości handlowych.

Zanważa się, że absolwenci dwuklasowej szkoły kupieckiej mogą być pociągnięci tylko do dwuletniej czynnej służby wojskowej i że świadectwo odejścia tej szkoły zastępuje przy uzyskaniu dowodu uzdolnienia trzyletni czas nauki w przemyśle handlowym

Jedyny w Krakowie, który posiada własny wyrób trumien **Zakład pogrzebowy „Concordia“ Jana Wolnego**

Kraków, Plac Szczepański L. 2 (dom własny) Telefon Nr. 381.

C. SZCZURKOWSKI

Kraków, Grodzka 2

poleca:

Wełny, Włóczki do robót drutowych, Wyroby z wełny, to jest **Pończochy**, Rękawiczki, Cwetery i t. p.

Miód

zastępuje drogie masło. Bańka pocztowa 5 kg. 10 K. Wysyłka za pobraniem Cenniki niemieckie lub czeskie wysyła Fr. Wenzel, Baumschütz Ołomuniec 70.

KINO-WANDA

przy ulicy św. Gertrudy L. 5.

Co trzeci dzień nowy program.

Przedstawienia trwają w dnie powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11-tej wieczór.

Wojenny zegarek i budzik K. 6. **Branzoletka z zegarkiem K 12.**



Wojenny zegarek z podwójnym relifem J. Ces. M. cesarza Franciszka Józefa I. i Wilhelma II. albo z poczwórnym relifem „Viribus unitis 1914—1916“ w stalowej lub niklowej schowce z dobrym werkiem Anker K 6·—, I. jakości kor. 8·—. Radiowy K 10·—. Prawdziwy srebrny K 15. Budzik kieszonkowy K 20·—. Radiowy K 28·—, odpowiednia skórzana opaska na rękę K 2·— osobno. Branzoletka z zegarkiem z skórzanymi rzemykami duży format K 6.—, radiowy K 10·—, branzoletka z zegarkiem mały format według rysunku K 10·—, 12·—, radiowy K 15·—, 18·—, z precyzyjnym werkiem Anker K 24·—, marki Cyma K 30·—, Omega K 50·—. radiowy K 10·— więcej. Szkło ochronne według rysunku K 2·— i więcej. Wojenny budzik niklowany 30 cm, wysoki K 6·—, 3-letnia gwarancya. Wysyłka tylko za poprzedniem nadesłaniem należytości i 1·— K na opakowanie, opłacone do całych Austro-Węgier i w pole przez **I-szy skład zegarków wojennych**

Max Böhnel, Wiedeń, IV. Margaretenstrasse 27/62.

Oryginalny cennik fabryczny darmo.

Zegarek z branzoletką



z intenzywnie świecącą **tarczą radiową**, liczby i wskazówki wydają w ciemności silne światło. Regulowany werk Anker, punktualnie idący, 3 letnia gwarancya. Wykonany z błękitnej stali z rzemykami. Przecięcie 45 mm. Uznany jako praktyczny dla wojskowych. **Cena 9 koron 50 hal.** Wysyłka za zaliczką, na pocztę polową za poprzedniem nadesłaniem pieniędzy przez skład zegarków

Jakób König, Wiedeń 3/89. Löwengasse 37 A.

Pewny skutek. Tysiączne listy z podziękowaniami każdej chwili do przejrzenia. **Jędrny piękny biust** otrzyma się przez użycie **Dra med. A. Rixa kremu na biust**. Urzęd. stwierdzony jako nieszkodliwy, dla każdego wieku szybko i **pewnie działający**. Do użycia zewnętrznie. Jedyny krem na rozwój biustu, który z powodu nadzwyczajnego działania wprowadzony został do aptek, nadw. drogueryi etc. Próbna doza K 3·30, wielka doza, wystarczająca dla skutku K 8·80. Wysyłka pod ścisłą dyskrecyą Dra **A. Rixa** kosm.-labor **Wiedeń IX, Lakiorg. 6 F.** Składy w Krakowie: Apteka Wiszniewskiego. ul. Floryańska 15: Reim i Ska, Rynek gł. 37. Droguerya Komorowskiego, Floryańska 33.

We Lwowie do nabycia: S. Rucker, apteka pod „Srebrnym orłem“ ul. Krakowska 1, Perfumerya Sładowskiego. Bielsko: droguerya Polaczka, Kolejowa. Kołomyja: apteka Lopołka, ul. Jagiellońska. Tarnów: droguerya Bracha. W Cieszynie: Schw. Hunddrog. i Ankerdrog.

BAZAR KRAJOWY

KRAKÓW

ulica Szewska 22

: LWÓW :

ul. Akademicka 10

poleca najtaniej wyrobu krajowego:

Chodniki kokosowe, wycieraczki do nóg, zabawki Jaworowskie, karty do gry, wyroby koszykarskie kilimy, portyery i t. p. 4

5 halerzy



kosztuje karta korespondencyjna, zapomocą której zamawiać można mój główny katalog który na żądanie bezpłatnie wysyła: **Pierwsza fabryka zegarków**

Hanns Konrad

c. i k. nadw. dostawca w Brüx Nr. 1569 Czechy

Niklowy albo stalowy zegarek Anker Kor. 6—, 7—, 8—, ze szwajcarskim werkiem K. 7·—, 8·—, 9·—. Pamiątkowe zegarki niklowe lub stalowe Kor. 11·—, 12—. Wojskowe zegarki z radium niklowe albo stalowe Kor. 12·—. Masiwne srebrne zegarki „Roskopf“ K 19·—. 20·—. Budziki ścienne i stojące w wielkim wyborze po bardzo nizkich cenach. Na każdy zegarek 3 letnia gwarancya. Wysyłka za zaliczką. Bez ryzyka! Wymiana dozwolona lub zwrot pieniędzy!

Potrzebna zaraz panna

do korespondencyi polskiej i niemieckiej. — Wymagana również biegłość **w pisaniu na maszynie.**

Wiadomość:

Administracya „Nowości Illustrow“.

RoweryRyval



są przecież najlepsze!

K 145 kompletny z torpedem, lampą acetylinową, dzwonkiem, torbą z przyrządami. Pompa połaniała, płaszcze na wszystkie ceny. Pedały za parę K 3·—. Łańcuchy K 3·50. Latarnia K 1·95. Rączki 30 hal. Ochraniacz od błota K 2·25. Lampy kieszonkowe i baterye, maszyny do szycia i m. do mówienia. Cenniki Nr. 140 darmo i opłacony. Specyalne ceny dla kupców.

Specyalny Dom przemysłu rowerowego

G. Wondrak

Wiedeń, III. Hauptstrasse 144

Jedyny w Przemyślu który posiada własny wyrób trumien

Zakład pogrzebowy „Concordia“

Przeprowadza ekshumacye i transport zwłok z każdej miejscowości.

Wyjaśnień udziela się chętnie.

JAN SMYK

Przemyśl, Rynek L. 16

DRUKARNIA

D. E. FRIEDLEINA W KRAKOWIE

ULICA KAZIMIERZA WIELKIEGO 95 — TELEFON 479

zaopatrzona jest w wielką ilość czcionek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonywa wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące: broszury, cenniki, katalogi, cyrkularze, afisze, zaproszenia ślubne, tabele itp. szybko, starannie, po cenach umiarkowanych.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie. pod zarz. dom Pawła Madejskiego